Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT—FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 35 | Niedziela 1 listopada, 1942 | Cena (Price) 1/-

TRESC:

Marian Emil Rojek

O ŁAD W ŻYCIU PUBLICZNYM

SŁOWO "idiota" pochodzi z greckiego i oznaczało w tym języku człowieka prywatnego, odosobnionego, nie troszczącego się o sprawy publiczne. Taki człowiek idealnie odosobniony społecznie i prywatny był też zarazem obywatelem idealnie apolitycznym i bezpartyjnym. Treść jednak, jakiego to pojęcie z czasem nabrało i jaką żyje do dziś, wskazuje jego miejsce w hierarchii wartości naszej cywilizacji, której kolebką była i pozostała starożytna Grecja.

"Obywatele nasi — mówił Perykles 2.400 lat temu — uczestniczą w sprawowaniu obowiązków zarówno prywatnych jak i publicznych i nie dają się pochłonąć swoim rozlicznym zajęciom tak, by to stało na przeszkodzie ich wiedzy o sprawach państwa. Różnimy się więc od innych krajów, gdyż człowieka trzymającego się zdala od życia publicznego uważamy nie za jednostkę spokojną, ale — bezużyteczną."

Napewno nie dorównują Peryklesowi ci z naszych polityków, którym się wydaje, że polityka nie jest umiejętnością realizowania zasad i celów wyższych, lecz jedynie grą mającą im dostarczać przywilejów i korzyści. Oni to mówią bezkrytycznym słuchaczom : teraz nie czas na politykę, teraz prowadzimy wojnę, precz z partyjnictwem, niech nikt nie ośmiela się rzucać kłód pod nogi ciężko pracującemu rządowi. . . .

I znajdują ludzi . . . . odosobnionych i prywatnych.

Powolni oddawna takim hasłom obywatele szczycą się nawet tym, że nie należeli nigdy do żadnego zorganizowanego ruchu ideowo-politycznego. Że zaś podobni lubią podobnych, więc też z nabożeństwem mówią jedni o drugich ; o to **porządny człowiek,** nigdy nie zajmował się polityką, nigdy nie należał do żadnej partii. . . .

Niektórzy z tych "porządnych ludzi" rozbudowują nawet swoją teorię strusiowatości, próżniactwa, sobkostwa i oportunizmu w sprawach publicznych. Polityka — powiadają — jest sprawą brudną. Pocóż więc mam sobie pobrukać ręce? Ci są źli, ale i tamci nie będą lepsi. Pocóż ja mam mieszać się do tego? Najlepiej trzymać się zdala . . . .

Źródłem tych błędów są braki rozumu i braki charakteru. Nie można prowadzić wojny bez prowadzenia polityki, a raczej można, tylko wtedy należy patrzeć co z tego wyjdzie. Wojna bowiem jest sprawą polityczną w najwyższym stopniu. Jeżeli sami zainteresowani, Polacy, zaniechają baczenia na własne sprawy polityczne, znajdą się zawsze usłużni, którzy ich wyręczą. Tylko gdzie w takim razie znajdzie się sprawa polska?

Jeżeli ludzie uczciwi i porządni oddadzą sprawy polityki ludziom brudnych rąk, jak się ta polityka przedstawiać będzie?

Oczywiście z rozważań powyższych nie wynika, by wszyscy obywatele zapisani byli koniecznie do stronnictw politycznych. Rzecz najważniejsza, **by mieli przekonania,** by braku prze-

konań nie uważali za zaletę, ale za wadę, by zgodnie ze swymi przekonaniami postępowali. Logicznie zaś wtórnym, choć faktycznie istotnym, okaże się dalsze tego następstwo, a mianowicie uspołecznienie ogółu, zrozumienie dla form działalności politycznej i specjalnie dla roli zorganizowanych ruchów ideowo-politycznych. Niemożliwe okazałyby się wtedy oszustwa publiczne, polegające albo na wyklinaniu stronnictw politycznych w ogóle i proklamowaniu jakiejś rzekomej bezpartyjności, bądź też na przedstawianiu jako stronnictwo tego, co ani stronnictwem ani w ogóle ruchem ideowo-politycznym nie jest. Niemożliwe okazałyby się wtedy zarówno partyjnictwo i sejmokracja, jak i każde meksykańsko-bałkańskiego typu "wodzostwo."

* * *

Jednostka w sprawach publicznych nie może działać sama. Człowiek musi pozostawać w jakimś wyraźnym odniesieniu do społeczności politycznej, t.j. do państwa i narodu. Tylko utopiści, w rodzaju najwcześniejszych francuskich republikanów, myśleli, że "lud" może rządzić bezpośrednio. Dzisiaj podejmują ich niedorzeczne poglądy często ci gracze polityczni, którzy mają własne egoistyczne cele na oku. Oni to potępiają **jawne** organizacje polityczne, gdyż wtedy najłatwiej im działać **tajnie** — przez kliki i mafie. Najwygodniej dla nich mieć przed sobą masę **niezorganizowaną** i rozproszkowaną na atomy-jednostki, a równocześnie dysponować odpowiednią **organizacją** dla własnych, ogółowi nieznanych, celów. Jest to najlepsza metoda popierania i obrony interesów i inwestycyj, które nie mogą ujrzeć światła dziennego.

We wszelkich dziedzinach życia społecznego ilość różnych możliwości i form jest ograniczona. Nie można co rok wymyślać czegoś nowego. Więc też i w dziedzinie organizacji politycznej społeczeństwa stronnictwo jest tą formą zasadniczą, która się przejawia w bardzo nawet różnych ustrojach. Nigdzie jednak, w żadnym ustroju, podstawą państwa nie jest, bo być nie może, bezpartyjność.

Za stronnictwo tedy, w prawdziwym tego słowa znaczeniu uważać należy formę organizacyjną głębokiego ruchu ideowo-politycznego, mającego charakter masowy. Nie może istnieć i działać pożytecznie stronnictwo bez ideologii czy choćby tylko koncepcji obejmującej całość zagadnień państwowych i życia społecznego. Stronnictwo bez ideologii, po bliższym przyjrzeniu się, okazuje się zawsze spółką do robienia interesów prywatnych na interesie publicznym.

Ideologij jednak nie ma znowu tak wiele. I dlatego w społeczeństwach wyrobionych politycznie nie będzie nigdy wiele stronnictw. Nie może być przecież równocześnie w tym samym społeczeństwie **wiele** politycznych ruchów **masowych.** Jeżeli pominiemy tu całkowicie nawet heglowską filozofię i jej naukę o dialektyzmie historycznym, to i samo doświadczenie nam wskaże, że w kraju długiego i wydarzeniami z zewnątrz nie przerywanego ustroju politycznego, t.j. w Anglii, za klasyczny stan uważa się w tym względzie istnienie dwu tylko stronnictw politycznych i że ten najbardziej sprawdzony i praktycznie wypróbowany ustrój angielski najlepiej funkcjonuje przy dwu stronnictwach.

Prawdziwe stronnictwo z natury rzeczy, jako ruch masowy, dąży do ogarnięcia całości społeczeństwa. Stronnictwo oczywiście nie jest celem samo w sobie, tylko ma służyć wedle swego najlepszego rozumienia swojemu narodowi i to w nawiązaniu do ideałów uniwersalnych, które są niezmienialne — zwłaszcza w porównaniu z programem politycznym i taktyką. Jeżeli stronnictwo uznaje swój program polityczny za najwyższy dogmat uniwersalny i jeżeli w dążeniu do ogarnięcia całości posługuje się gwałtem i przemocą, mamy do czynienia z totalizmem. Odrzucając i program tego rodzaju tworów i ich metody jako niezgodne z duchem cywilizacji chrześcijańskiej, musimy jednak pamiętać, że prawdziwe stronnictwo polityczne ma moralne prawo do misjonarstwa politycznego i pozyskiwania c a ł o ś c i społeczeństwa dla swoich poglądów obejmujących c a ł o ś ć. Narodowcy ogarniają swoim poglądem cały naród i rozumieją porządek międzynarodowy świata, jako zespół narodów współżyjących wedle zasad cywilizacji idealistycznej. Materialiści polityczni, z których w naszych stosunkach najważniejsi są socjaliści, obejmują myślą również całość, w innym jednak znaczeniu, gdyż dążą do zniszczenia, w pewnych warunkach gwałtem, lub co najmniej zlikwidowania w drodze odpowiedniej polityki ekonomicznej, "klas" — jak się wyrażają — społecznych, by ostatecznie dojść do jednolitego "bezklasowego" społeczeństwa na całym świecie, żyjącego wedle zasad materialistycznego pojmowania rzeczywistości.

Jest tedy poważnym, organicznym defektem stronnictwa, jeżeli nie reprezentuje ono żadnego głębszego poglądu na świat i jest tylko organizacją interesów danej warstwy czy grupy. Stronnictwo takie nie może pretendować do rządzenia państwem, skoro w samym już założeniu nie obejmuje swoimi poglądami i programami całości państwa. Stronnictwo z prawdziwego zdarzenia musi mieć swoje koncepcje zorganizowania całości i ustosunkowania jej do innych całości narodowych czy państwowych. Stronnictwo oparte wyłącznie na zasadzie klasowej czy grupowej i z góry zakładające sobie, że jego program nie może wyczerpać całości zagadnień, z natury rzeczy dążyć będzie do kombinacyj z innymi podobnymi grupami, co choć samo w sobie nie jest jeszcze zgubne, przecież jako predyspozycja do gry politycznej nosi w sobie zarodki intrygi i rozstroju.

W tym właśnie leżała największa tragedia polskiego konserwatyzmu, w ostatnim jego okresie, że stał się z światopoglądu wyrazem tendencji bronienia pewnych interesów materialnych i na tym tle sprzymierzył się z siłami klasycznie antykonserwatywnymi, z międzynarodowym liberalizmem reprezentującym przede wszystkim możnych kapitalizmu. Ta sama okoliczność staje się kulą u nogi polskiego Stronnictwa Ludowego, które wychodzi na szeroki świat i zdaje się nie mieć miary, którąby do świata i spraw polskich przyłożyć mogło. Miarę własną zdawali się posiadać socjaliści, ale albo jej nie używają, sprzymierzając się ideowo i politycznie z b. sojusznikami polskiego konserwatyzmu, albo też może i miara się już zepsuła.

Tak tedy rozumiane stronnictwo ma niesłychanie doniosłą rolę do spełnienia w u s t r o j u państwa. Jest to rola zaiste nie incydentalna, ale istotna — funkcjonalna. Istnienie stronnictw praktycznie wyraża się w zapewnieniu kontroli działalności rządzących oraz ich odpowiedzialności.

Nie są to cele, które można zapewnić mechanicznie — n.p. przez wyznaczenie ludzi do kontroli. Zawsze bowiem chodzi o to, w co wierzą ci ludzie. Jeżeli w nic nie wierzą, mogą być przekupieni lub ulec terrorowi jakiegokolwiek rodzaju.

I dlatego zorganizowane w stronnictwa ruchy ideowo-polityczne, ich ideologie i programy, są siłą motoryczną, która zaprzęga obywateli do pracy dla państwa w imię celów wyższych, a zarazem daje im formę organizacyjną bezpośred-

niego jakby dotykania i troszczenia się o sprawy państwa. Na tym też polega ogromne i zwykle najmniej doceniane zadanie prawdziwego stronnictwa i ruchu politycznego, zadanie wychowawcze wobec społeczeństwa. Wartość takiego wychowania okazuje się zwykle w chwilach przełomowych, takich jakie obecnie przechodzi naród polski.

Z tych to powodów praktyka prawna w europejskich państwach cywilizowanych nie wymagała zezwolenia władzy na utworzenie stronnictwa. W polskim ustroju przedmajowym stronnictwa wspomniane były jedynie w ordynacji wyborczej, która przewidywała powołanie przedstawicieli ośmiu największych z kolei stronnictw do Głównej Komisji Wyborczej (już sama ta liczba wskazuje zresztą na słabe strony tego ustroju). Nie było jednak w prawie pisanym postanowień o tym, jak stronnictwa powstają i jak funkcjonują. W ustroju pomajowym żaden przepis nie wspominał stronnictw, ale też ich nie zakazywał, a z okazji obrad sejmowych, na parę lat przed wojną, nad prawem o stowarzyszeniach przedstawiciel rządu złożył oświadczenie, iż nie jest zamiarem wnioskodawców zmienić cokolwiek w przyjętej milcząco konwencji, że na założenie stronnictwa politycznego nie potrzeba zezwolenia władzy. Z natury bowiem naszego europejskiego ustroju wynika, że każde stronnictwo jest legalne z wyjątkiem takiego, które dybie na niepodległość lub integralność państwa.

Stronnictwa zapewniają kontrolę. Żaden obywatel nie może przyjść po prostu do urzędu czy władzy i zażądać pokazania mu ksiąg i rachunków, czy też wytłumaczenia się z takiej czy innej działalności. Taka swoista **actio publica** możliwa była tylko w starożytnych miastach-państwach, w których ilość obywateli była nieznaczna. W nowoczesnych państwach narodowych obywatele muszą się **zorganizować,** żeby wykonywać kontrolę przez **reprezentantów.** "Porządni ludzie" zaś, t.zn. polityczni sobkowie i oportuniści, dlatego przede wszystkim są szkodliwi, że często biernością swoją podtrzymują bądź nawet parawanem swoich nieskazitelnych nazwisk zasłaniają — łajdaków. Organizacją zaś, która **funkcjonalnie** umożliwia kontrolę jest stronnictwo polityczne.

Kontrola prowadzi prostą drogą do odpowiedzialności, bez kontroli nie może być w ogóle mowy o odpowiedzialności i to ani sądowej ani politycznej. Kiedy powrocimy do Polski, każdy z obecnych ministrów czy innych dygnitarzy będzie mógł być powołany przed sąd, gdyby na to zasłużył. Oprócz odpowiedzialności sądowej jednak, za działania przestępcze, istnieje jeszcze najczęściej wystarczająca w działalności publicznej odpowiedzialność polityczna, realizowana zwykle przed Sejmem czy ogółem obywateli i łącząca się w konsekwencji z porażką lub nawet klęską na polu politycznym. Istnienie sądów zapewnia odpowiedzialność sądową, istnienie stronnictw odpowiedzialność polityczną. Jeżeli bowiem dany minister nie popełnił przestępstwa formalnie, prowadził zaś złą politykę i jeżeli następnie powie, że wycofuje się z życia publicznego, sprawa dla niego się skończyła. Nie skończy się jednak sprawa dla jego stronnictwa, które mimo to ponosić będzie konsekwencje. Ktoż w Polscc odpowie np. za takich ministrów obecnego rządu, jak pp. Stroński i Kukiel, czy Raczyński i Strassburger lub Seyda i Komarnicki? Napewno będzie za nich odpowiadał politycznie, oprócz nich samych, gen. Sikorski. Będą odpowiadały oczywiście i stronnictwa, udzielające poparcia obecnemu rządowi, ale też zapewne będą się tłumaczyć, że ministrowie ci nie reprezentowali w rządzie zaangażowanych w nim stronnictw. Wołania np. "Stańczyk to nie P.P.S." nie mają już żadnego uzasadnienia politycznego, bo właśnie "Stańczyk, to P.P.S.", gdyż P.P.S. jest stronnictwem i za działania swoich przedstawicieli w rządzie odpowiada i odpowiadać będzie bezpośrednio. I na tym też polega m.in. funkcja stronnictwa, inaczej stronnictwo staje się niepotrzebne.

Z uwag powyższych nie wynika wcale, jakoby tylko gabinety polityczne miały stale i niezmiennie rację bytu, a natomiast żeby raz na zawsze wykluczyć możliwość powoływania gabinetów t.zw. fachowych czy gabinetów osobistości. Są to konieczne czasem **remedia,** nie mniej musi być najzupełniej jasne, że w gabinecie fachowym muszą rzeczywiście znaleźć się fachowcy, a osobistości znów w gabinecie noszącym tę nazwę. Najgorzej jest, jeżeli klika wysyła do gabinetu niefachowców jako fachowców lub osobistości, które bynajmniej nie są osobistościami. . . .

Bo oprócz stronnictw są również kliki i mafie polityczne. Ich cechą zasadniczą jest, że nie są one ani kontrolowane ani odpowiedzialne. Nie będziemy silić się na ścisłe definicje, ale w stosunkach polskich kliki formują się przy jednostkach żądnych władzy i pozbawionych skrupułów, mafie zaś identyczne są naogół z ekspozyturami obcych interesów.

Opieranie formacyj politycznych tylko i wyłącznie o jednostki, a nie przede wszystkim o zasady, jest objawem prymitywizmu politycznego i właściwie nawiązywaniem do tego okresu barbarzyńskiego w życiu społecznym, kiedy najsilniejszy i najbezwzględniejszy kacyk, lub szczególnie sprytny szaman w ten czy inny sposób arbitralnie przywodził swojej hordzie. W uznaniu kacyka czy szamana kryła się bezradność biednej zabobonnej hordy wobec zjawisk życia zbiorowego. Nie jest to godne cywilizowanego społeczeństwa.

Zepsucie się obyczajów politycznych i ogólne obniżenie moralności publicznej nawracają również społeczeństwa do prymitywizmu. Dowodem chylenia się do upadku polskiej myśli politycznej w wieku XVII było trzymanie się tłumów szlacheckich "pańskiej klamki." Za Sasów nie było już w ogóle stronnictw politycznych opartych na programach, były tylko fakcje magnackie w kraju, kliki zaś osobiste i mafie zagraniczne na dworze królewskim. Kliki osobiste były również wtedy na dworze królewskim angielskim i dopiero od Pitta Młodszego datuje się nowoczesne przeformowanie stronnictw angielskich i zanik korupcji członków Parlamentu przez koterie dworskie.

W Anglii te rzeczy należą do przeszłości, w stosunkach polskich wykazują tendencję narzucania się umysłom "porządnych," lub tylko poczciwych, Polaków. Niemało naszych rodaków znajduje się ciągle jeszcze na poziomie politycznym czasów saskich i nie potrafi dotąd zrozumieć innej walki politycznej, jak tylko osobistą, i innego celu politycznego, jak tylko zastąpienie jednej osoby przez drugą. Na tym też polega walka tego rodzaju typów z t.zw. sanacją — przy równoczesnym stosowaniu i rozszerzaniu systemu sanacyjnego. W tego rodzaju umysłach walka z "sanacją" równoznaczna jest z zastąpieniem niektórych osób "sanacyjnych" przez inne — przy zachowaniu systemu sanacyjnego, którego szkodliwości nie rozumieją. W umysłach zaś kierowniczych i zdających sobie sprawę z istoty zagadnienia ta t.zw. walka z sanacją jest tylko chwytem taktycznym, bardzo zresztą szkodliwym, bo pogłębiającym tylko demoralizację. **Rząd generała Sikorskiego nigdy nie walczył z sanacją.**

Nie występujemy, nigdy, zasadniczo przeciw inicjatorskiej i czołowej roli jednostek. Czym jednak jest praca polityczna oparta na jednostkach, a nie ruchach polityczno-ideowych, okazuje najlepiej tragedia pułkownika Sławka. Piszący te słowa był zawsze krytycznie usposobiony wobec działalności politycznej marszałka Piłsudskiego — która dziś już należeć

zaczyna do historii i stopniowo co raz bardziej winna być dyskutowana i oceniana **sub auspiciis** tej wielkiej nauki — nie mniej jednak rozumiał, choć nie podzielał, pogląd tych, którzy uznawszy wyjątkową jednostkę poddali się urokowi osobistości jakby **personalnie** tylko, bez wnikania głębszego w zasady i programy. Przewodnictwo jednak takiej wyjątkowej jednostki musi się praktycznie skończyć nawet dla jej zwolenników, skoro samej osobistości zabraknie. Przewodnictwo to musi pozostać wyjątkiem i nie może stać się zasadą. Zostaje pamięć zanika przewodnictwo faktyczne. I dlatego najwierniejszy zwolennik, uczeń i przyjaciel Piłsudskiego, Sławek, zawołał pojego śmierci: dotąd prawem była mi **wola wodza,** skoro zaś wyjątkowej jednostki nie można znaleźć mechanicznie, odtąd musi rządzić w państwie **obiektywne** prawo. Przez to zaś prawo rozumiał Sławek konstytucję i ordynację wyborczą, które — ułożone przez niego — miały zapewnić państwu rząd i jego kontrolę oraz odpowiedzialność. W tym **prawie** nie było miejsca na stronnictwa. Sławek myślał, że zgnębił partyjnictwo, tymczasem odżyło ono silniejsze niż kiedykolwiek w jego własnych instytucjach. Zamiast jawnych stronnictw politycznych, kontrolowanych i krytykowanych publicznie, znalazł Sławek w swoim systemie rządowym kliki osobiste . . . . Szła wielka burza dziejowa na Polskę tak zorganizowaną. Sławek wyciągnął pistolet. . . . Był to symbol tragicznej bezsiły.

Czyn Sławka jest apologią intencyj grupy piłsudczyków, ale zarazem dowodem w procesie przeciw systemowi sanacji.

Kontrolę i zasadę odpowiedzialności ułatwia i w ogóle umożliwia przede wszystkim ciągłość stronnictw i ich mała liczba. Współczesny angielski znawca prawa państwowego H.R.G. Greaves (nota bene, socjalista) pisze w swojej "The British Constitution" o wyższości Parlamentu opartego na zasadzie dwu stronnictw nad Parlamentem rozproszkowanym :

It has the great advantage of clarifying the issues. It fixes responsibility. Nothing is more vital to good government than the knowledge on the part of the ruler that he must answer for his conduct. Nothing is more pernicious than the possibility of evading blame through shifting responsibility.

Czym zaś stać się może nadmierna ilość partyj i grup politycznych, ich płynność oraz zatarcie konturów — dostarcza przykładu Francja, w której ten stan rzeczy uniemożliwił wprost ulokowanie odpowiedzialności w jakiejś określonej topografii politycznej. Skutki tego są dziś powszechnie znane.

Jak najostrzej tedy występować należy przeciw tworzeniu coraz to nowych grup i grupek politycznych i przeciw ich rozmnażaniu się. Twory takie rodzą się czasem z ambicji niektórych jednostek, którym się wydaje, że wszystko dopiero od nich się zaczyna. Innym powodem powstawania ich mogą być niekiedy usiłowania postronne, nawet zagraniczne, mające na oku zawsze dywersję polityczną dla celów antyspołecznych. Zwłaszcza w takim kraju jak Polska, która od lat stu pięćdziesięciu nie zna stałości instytucyj państwowych ni społecznych, należy postępować w tych sprawach ze szczególną ostrożnością, żeby jeszcze bardziej nie utrudniać funkcjonowania pamięci zbiorowej i utrzymania mądrości działania społecznego. Nie wolno przesypywać społeczeństwa ustawicznie jak piasek i społeczeństwo zdrowe i zachowujące instynkt samozachowawczy na takie piaskarskie roboty pozwolić nie może.

Formowaniem tego rodzaju tworów zajmują się zwykle nie prawdziwi przywódcy, lecz demagogowie. W mniej jeszcze niż polskie wyrobionym, ale politycznie bardzo żywym środowisku ukraińskim w Małopolsce Wschodniej problem ten był bardzo aktualny. Skłonność do tworzenia ciągle nowych i niezależnych jedna od drugiej grup politycznych przez ambitnych prowodyrów nazywano tam **atamanią,** samych zaś "fuehrerzyków" nazywano swojsko lecz krytycznie i ironicznie: **atamanami.** W słowach ataman i atamania zamykano obraz bujnego stepu, Dzikich Pól, na których co parę kilometrów buszował i rządził niezależny kozak-ataman. Obraz to w najwyższym stopniu niezachęcający nawet dla społeczeństwa bardziej przymitywnego niż polskie.

Mniej stepowego romantyzmu, a więcej cynizmu mają w sobie starzy gracze i wygowie parlamentarni, jacy zwykle przeszli już przez różne formacje polityczne, udając, że szukają prawdy, na której zresztą nigdy im istotnie nie zależało. Zakładane przez nich partie i partyjki nie mają w sobie zwykle nic z pierwotności Dzikich Pól i nasuwają zupełnie inne analogie. W żartobliwym żargonie politycznym tego rodzaju "stronnictwa" noszą nazwę "kanapowych", a to od liczby członków, zazwyczaj starszych panów, którzy się mieszczą wygodnie na jednej kanapie. Chodzi tu zwykle co prawda o szczególnie dużą kanapę — takie ustawia się w antyszambrach politycznych — ale kanapa nigdy nie jest czym innym jak tylko kanapą, i ani idei ani masy zastąpić nie może.

I dlatego do poziomu kanapy sprowadza się nawet realne stronnictwo, jeżeli dla ułatwienia sobie gry politycznej staje w jednym zespole na równi z grupami kanapowymi, choć dla kamuflażu przybierającymi sobie również nazwę stronnictw. Nie trudno sobie wyobrazić ,że przy wspólnym wystąpieniu takiego zespołu waga grupy kanapowej nie nabierze bynajmniej ciężaru stronnictwa, ale za to szala z ciężarem stronnictwa dziwnie zelżeje do wagi grupy kanapowej. Polityka ma swoje prawa . . . .

* * *

W ogólnym rzucie oka na poruszony przez nas problem stwierdzić należy, że zorganizowane w stronnictwa ruchy ideowo-polityczne mają istotne zadanie do spełnienia w nowoczesnym organizmie państwowym. Nie należy zatem ulegać demagogii tych, którzyby woleli niezorganizowane społeczeństwo prowadzić ku swoim własnym, szczególnym, celom. Stronnictwo które jest wyrazem głębokich prądów ideowych, nurtujących naród, przeżyć się nie może. Ulega ono ewolucji i dostosowuje metody działania do zmienionych warunków, ale nie może zniknąć, gdyż jest wyrazem samego życia i jego konieczności.

W pojmowaniu stronnictwa jako organizacji ruchu ideowo-politycznego nie zawsze zresztą można kierować się nazwą. Decydować będzie istota rzeczy. Społeczeństwo zaś będzie szło ku lepszej przyszłości : jeżeli odrzuci kliki i mafie ; jeżeli odwróci się od atamanów i kanapowych grupek ; jeżeli zrozumie rolę ruchów ideowo-politycznych i ich odpowiedników organizacyjnych w życiu publicznym ; jeżeli sprzyjać będzie całkowaniu ruchów zbliżonych ideowo i programowo do siebie, a polaryzowaniu tych biegunów, które są sobie przeciwstawne. Jakże praktycznie mądry jest ustrój angielski oparty o zasadę dwu stronnictw oraz o zasadę, że funkcja opozycji jest istotnym elementem konstytucji ! O ileż łatwiej wytworzyć w tak wychowanym politycznie społeczeństwie prawdziwą jedność narodową, skupioną dookoła celu, który nikogo nie dzieli, a wszystkich łączy.

Marian Emil Rojek

NA DZIEŃ ZADUSZNY

Polska, to nie tylko ludzie żyjący i ich ziemia. Polska to także dusze tych, co odeszli do ojczyzny niebieskiej. Polska to wszystkie duchy tych, co Polskę tworzyli i tworzą, od zarania dziejów aż po dni najbliższe. Z tej gigantycznej jedności wyłączone są tylko dusze ludzi potępionych surowym i sprawiedliwym wyrokiem Boga.

Co to za ogromna moc, jaka płynie z tej łączności duchów polskich świętych, królów, książąt, mężów stanu, biskupów, ojców, matek, dzieci, rycerzy, którzy odeszli dawniej — z tymi, którym przypadło doczesne borykanie się o królestwo boże na świecie w dniach ostatnich.

Prawda powyższa wyrażona jest w podstawowym dogmacie Chrześcijaństwa: **Wierzę w świętych obcowanie.**

Dzień Zaduszny skierowuje myśl naszą w sposób szczególny ku tym, co do lepszego życia odeszli po nagrodę za trudy w dniu tym spełniamy nasz wobec nich obowiązek, obowiązek troski o ich dusze.

W dniu tym spełniamy, w sposób szczególny, naszą powinność modlitwy za dusze bliskich, co do których spodziewamy się że naszej modlitwy potrzebują. Dlatego gromadzimy się u stóp ołtarzy i bierzemy udział w Bezkrwawej Ofierze, składanej za spokój ich dusz, i łącząc się z modlitwą kapłana, błagamy Boga o łaskawość dla cierpiących w czyścu.

Jeżeli czyniliśmy tak w dniach pokoju, to poczuwamy się do czynienia tego tym więcej teraz, gdy tylu braci naszych i sióstr, osób nam najbliższych, umarło i umiera wszędzie, od bezkresnych przestrzeni sybirskich do obozów koncentracyjnych w Teutonii, w więzieniach, na polach bitew, na morzu, nie mając sposobności spowiedzi, przyjęcia Wiatyku, usłyszenia ciepłych słów kapłana i pocieszenia osób najbliższych sercu.

Tam w Polsce odprawia się nabożeństwa Dni Zadusznych z uczuciem szczególnie tęsknym; niejedna ręka ukradkiem kładzie kwiaty na grób nieznanych często żołnierzy i nieżołnierzy, którzy oddali życie w wielkiej katastrofie narodowej; miliony ust szepce ciche pacierze o spokój ich dusz. Spełńmy ten serdeczny obowiązek wobec tych, co przeszli już straszny sąd Boga, i my także, którzy to uczynić możemy w warunkach tak do tego dogodnych. Spełńmy, ale nie tylko dziś, ale i w każdym pacierzu naszym, odmawiając przynajmniej westchnienie tak znane: **Wieczny odpoczynek racz im dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki.**

Ale, gdy ten obowiązek spełniamy, z sercem nieraz ściśnionym od bólu, pocieszani słodyczą nadziei, że tym możemy im pomóc i, że oni, sami nie mogąc modlić się za siebie, mogą jednak modlić się za nas i sprawy nasze osobiste i wspólne, — pełni jesteśmy, lub winniśmy być, myśli o wielkiej odpowiedzialności za nasze czyny wobec Sądu Bożego, przed którym stanąć nam przyjdzie nie wiadomo czy nie dziś lub jutro.

Budzą się refleksje. Jak wobec odwiecznej i nieodmiennej sprawiedliwości Bożej my wyglądamy? Jak wyglądają nasze wysiłki i trudy? Czy idą one ku wielkiej jedności Państwa Bożego, które winno się wyłonić z obecnego chaosu i morza cierpień, łez i krwi? Jako Polacy, czy zmierzamy w myślach, planowaniach i zamiarach ku Polsce Bożej, w której sprawiedliwość, miłość i zrozumienie wzajemne połączy wszystkich w naród Chrystusowy, — lub czy małość, złość, tchórzostwo, każe nam zasklepić się zawzięcie w interesach jednej grupy, klasy, stanu? Czy wielka wiara wiedzie nas ku wielkim szlakom przyszłości, czy też przeciwnie: przebrzmiałe hasła bez Boga prowadzą nas ku zniszczeniu pozostałej jeszcze siły narodowej i ku stworzeniu z wspaniałej w swym cierpieniu Ojczyzny naszej przyszłego kłębowiska tępej złości, rewolucyjnej nienawiści, ślepego pędu do niszczenia wartości trwałych, religijnych, tradycyjnych i . . . polskich?

Gdy porównywamy wartość dążeń, staje się, w świetle rozmyślań o życiu wiecznym, niezmiernie jasnym fakt, że jedyną wartość ma szukanie w sercu człowieka, Chrześcijanina, Polaka, szukanie dróg do serc współrodaków i budzenie w nich dobroci, miłości a nadewszystko Boga. To jest pewne, że zło musi być wypalone ogniem sprawiedliwości Bożej doszczętnie, a dobro nagrodzone powodzeniem pojedyńczym, rodzinnym i pospólnym. Bóg nie jest tworem ludzi, lecz człowiek jest dziełem rąk Jego, dlatego człowiek musi się dostosować do zamiarów bożych w swem postępowaniu.

Gdy przebiegamy myślą liczbę cierpiących a w myśleniu uwalniamy się od balastu kłamliwej propagandy, stwierdzić możemy, że wszyscy oni cierpieli i umierali z myślą o dwu wartościach, i podtrzymywani przez dwie moce: religia i ojczyzna. A jeśli ich co bolało, jeśli co zniechęca wszystkich, to bojaźń przed tym, żeby w życiu polskim nie doszły do głosu elementy, czyniące zamach na te wartości.

Dlatego dziś, gdy modlimy się za spokój dusz ofiar przemocy, złóżmy hołd tym, którzy wysiłek swój i życie oddali sprawie Narodu jako takiego, czyli narodu religijnie z Bogiem zjednoczonego.

Złączmy się zatem w jedną ojczyznę dusz z tymi, do odeszli i patrzą na nas oczyma Prawości, i z tymi, co cierpią, modlą się i tęsknią dla Polski przyszłej, i szukajmy usilnie a pokornie dróg do stworzenia narodu polskiego: pobożnego, pracowitego, rządnego i — mądrego. A mądrość zabija nienawiść.

ZIEMIA GROMADZI PROCHY

Książka Józefa Kisielewskiego ma już poza sobą całą swą historię, znacznie przekraczającą czas bardzo niedawny, jaki upłynął od jej ukazania się. Znalazła się oto była na półkach księgarskich na parę miesięcy przed wybuchem wojny, którą przewidywała i przeczuwała na każdej swej karcie, sięgając nawet dalej jeszcze w przyszłość, bo kierując myśl czytelnika ku pokojowi, jaki po tej wojnie nastanie! Wojna wybuchła i przerwała naturalną karierę dzieła, rozchwytywanego zresztą, jako odpowiedź na drzemiące w duszach polskich tęsknoty i dążności.

. . . Zdołała jeszcze ta książka bardzo napsuć krwi Niemcom. Pamiętam, w lipcu czy sierpniu 1939 roku, odbywał się jak zazwyczaj w latach ostatnich, kurs wakacyjny dla cudzoziemców w Uniwersytecie Jagiellońskim. Byli na nim oczywiście i Niemcy. Jeden z profesorów, omawiając w wykładzie bieżące nowości literackie, wspomniał i o książce Kisielewskiego. Niemcy wyszli z sali w czasie wykładu. Pamiętam jak mi o tym na gorąco po zajściu opowiadał prelegent. Incydent oznaczał jeno, że książka poruszała problemata palące.

Tak palące, że, czasu wojny, kiedy tom ten stał się na obczyźnie niedostępny, okazała się potrzeba jego ponownego wydania. Trudu tego podjął się wydawca nieladajaki, bo sam żołnierz polski, przebywający w Szkocji. Jedni żołnierze obdarzyli tą książką drugich. Dedykacja brzmi: "Żołnierzowi Polskiemu," zaś wstępna uwaga wskazuje, iż "książkę tę wydaną po raz pierwszy w r. 1939 przez Księgarnię Św. Wojciecha w Poznaniu przedrukowano w Szkocji staraniem żołnierzy polskich w drugim roku wojny, z germańskim najeźdźcą — jako wyraz pamięci i wiary." Wydawnictwo podpisane jest przez Książnicę Polską zasłużonej pani Harassowskiej.

*

Sama już historia tej książki skłonić by więc mogła do obszerniejszego zajęcia się nią tak dzisiejszego obserwatora jak i przyszłego historyka polskiej kultury i myśli politycznej. Tom Kisielewskiego stał się pozycją górującą nad całym ruchem wydawniczym naszego uchodźctwa. Stał się on codzienną strawą myślową dla tych wszystkich, którzy wybiegają w przyszłość Polski zabrawszy na drogę pamięć o przeszłości, tysiącletniej przeszłości. Mutatis mutandis — a zmiany te są właśnie bardzo ciekawe — jest to rola prawie dokładnie odpowiadająca roli, jaką czasu wojny poprzedniej odegrała była znana książka Chołoniewskiego *Duch dziejów Polski*. Ci, którzy tamtą wojnę pamiętają, wiedzą dobrze, jak ogromnie krzepiącą dla umęczonych serc polskich — Polacy znajdowali się wówczas w trzech armiach zaborczych, skazani na bratobójczą walkę — była lektura tej szczupłej książeczki, wskazującej na świetlaność polskiej misji historycznej, której najwyższym dla autora wyrazem była idea Unii. Książka pisana była z polotem, z wiarą w przyszłość, wiarą opartą na argumentacji wysnutej z pewnych, co lepszych, wybranych kart przeszłości. Myśl polska przed wskrzeszeniem Polski tłumaczyła światu, że Polacy nie tylko rządzić się potrafią, ale nawet i sąsiadów w swój rydwan pokoju i sprawiedliwości zaciągnąć.

Minęło lat dwadzieścia. Realizm życia narodowego nasuwał troskę o bezpieczeństwo Narodu i zmuszał do szukania lektury znacznie jeszcze bardziej realnej, opartej już nie tylko o wątek historyczny, ale wręcz o nakazy geografii i geopolityki, obronności więc ziemi polskiej. Zbliżająca się nowa chwila dziejowa kazała czytać już nie tylko w dokumentach, ale wręcz odczytywać to, co piszą same polskie rzeki na polskiej ziemi. Głos historii należało chwytać uchem do tej ziemi przyłożonym a nie już tylko okiem śledzącym księgi i pergaminy.

Stąd też jakże barresowski tytuł: *Ziemia gromadzi prochy*. *La terre vivants et des morts*, jakby to był powiedział Maurice Barrès.

*

Urokiem książki Kisielewskiego jest, że nie mieści się ona w żadnej kategorii znanych wzorów. Nie zatarto w niej ściegów powstawania. Jest tak organiczną, że właściwie opowiada tylko o poczęciu się myśli autora, o jej wzroście, rozroście i poszczególnych fazach rozwojowych. Myśl ta, oplatając się o polską ziemię, widziała jak historia tysiącletnia narodu polskiego utożsamia się właściwie z biegiem polskich wód. Od źródeł do ujścia Odry i Wisły biegną nie tylko wody rzek polskich, ale i dzieje polskie. Heraklitowe *panta rhej* staje się w rzeczywistości polskiej symbolem nie tego co mija, ale tego co trwa. To dopełnienie myśli greckiej polską treścią oddaję pod krytykę mędrców i filozofów.

Autor nasz pojechał więc do Niemiec z jedną, drugą i trzecią podróżą, nie do całych Niemiec, ale głównie do ich ogromnej połaci, będącej jeno wielkim cmentarzyskiem słowiańskim. Jadąc tam nie miał zamiaru pisania książki, a przynajmniej nie takiej, jaką napisał. Oglądając Niemcy dzisiejsze na tych przestrzeniach między Łabą a Odrą, zapadał on co trochę w głąb. Okazuje się, że grunt *niemiecki* pod nogami jest tam niesłychanie grząski. Istne mokradło dziejowe: by natrafić na grunt twardy, trzeba dojść do tego co tu było słowiańskie. I to niebylejakie słowiańskie, bo zachodnio - słowiańskie czy prawiepolskie.

Natrafiwszy na taki grunt pod nogami, trzeba było to zrozumieć. By zrozumieć — niejedno poznać. Zaś potem okazało się, że klucz zaklętej tajemnicy posłużyć może nie tylko autorowi, ale i wszystkim rodakom. Stąd ta książka, która nie jest ani historią, ani prehistorią, ani polityką narodu polskiego, ale w której jest i historia, i prehistoria, i polityka polska. "W początkowych planach podróży, czytamy, oczywiście ani mowy nie było o prehistorii. Ani o prehistorii, ani o historii, ani o etnografii. Ale temat wciąga, przemawia do ambicji, zmusza i przezwycięża lenistwo. Więc jest na tych kartach prehistoria." Jest i sporo innych rzeczy.

Zamiar autora? Samemu zrozumieć. A potem podać dalej. Albowiem uczeni w piśmie zazdrośnie prawdę chowają dla siebie w traktatach i uczonych publikacjach. A nie ma takich, albo ich jest niewiele, którzyby te najdostojniejsze wątki narodowej przeszłości czytelnikowi udostępnili.

"W trakcie pisania książki, wyznaje autor, stawano za moimi plecami i pytano ze zniecierpliwieniem:

— Po cóż ci to? Pomyśl, kto ci tak przeładowaną książkę przeczyta. A poza tym to olbrzymi materiał. Czy ty zdołasz to opanować?

— Spróbuję."

Wynikła z tego całość harmonijna, i nawet nie mozaikowa. Jest to jakby dziennik podróży z wplecionymi komentarzami do tego, czego autor na początku nie rozumiał należycie a potem sobie wyjaśnił. W ten sposób, dynamicznie i następczo, czytelnik wraz z autorem odbywa nie tylko podróż po Germanii, ale i wyprawę po prawdę. Prawdą tą, i przekonaniem swym dzieli się autor uczciwie z czytelnikiem, dzieląc z nim swój trud, swe wątpliwości, i wreszcie swe odpowiedzi i pewniki.

Ta wyprawa po złote runo słowiańskiej prawdy przedziera się przez prehistorię, wykopaliska i cmentarzyska. Z tego martwego świata wybija się znowu życie. "Poprzez martwe znaleziska szukamy żywego człowieka." I tu olśniewającą, zdumiewającą prawdę podaje przede wszystkim tak dla całej tej zachodniej Słowiańszczyzny ważny, prawdziwie reprezentatywny — Biskupin! Dowód ten jest rzeczywiście jakby z pod ziemi wyciągnięty: ziemia mówi . . . : "należy się najpierw dokładnie przyjrzeć zrębom poszczególnych chat, sposobowi wbijania pali, ustawiania ścian i następnie pomaszerować do pobliskiej wsi Biskupina. Zobaczy się wówczas zamieszkałą z dymiącym kominem chatę, która dokładnie tak samo wygląda, tak samo jest zbudowana "na łątkę," jak chata dwadzieścia pięć stuleci temu! Cóż za drapieżna moc trwania! I jaki bezpośredni rodowód!"

Ale jest i inny sposób przedzierania się wstecz, ku czasom zamierzchłym, któreby na tych ziemiach między Odrą a Łabą Niemcy chcieli wyplenić z korzeniami. Narzędziem tym jest język. Tu znów znaleziska podane przez Kisielewskiego są niezmiernie wymowne.

Wymienimy ich tu tylko parę, choć — wyznajemy — pióro świerzbi . . . Gdzież się te słowiańskie wyrazy nie odnajdują? Gdzieś opodal Harcu — tak, Harcu — we wsi Windchausen stoi figura święta, stara bardzo i wielką czcią otoczona, figura przedstawiającą Pietę, Matkę Bożą, trzymającą umęczone ciało Syna Swego. Lud okoliczny, niemiecki oczywiście, "od dawien dawna zwykł ją nazywać—Pommai-bog." Właśnie tak.

Ale są i inne: "Na fryzyjskiej wyspie Amrum ojca nazywa się "*aati*," na wyspie Fohr — "*oti*," na pobliskim zaś lądzie stałym "*taete*." Nad Renem w pewnych okolicach na małe dziecko mówią wieśniacy "*Kleine dietzke*," kładź się.. brzmi "klatsch dich," oraz rozpowszechnione jest słowo "*pritsch*" — precz. W Westfalii zaś na chłopów mówią "*klopleute*." Niektóre z tych słów mogą być bardzo świeżego, napływowego pochodzenia, zwłaszcza w Westfalii. Inne, oczywiście dziś już tylko sporadyczne, ciekawią nas jak odbicia ślimaków na starych formacjach kamiennych.

Im dalej na wschód, tym bardziej te pozostałości słowiańskie nabierają konsystencji. Nie tylko znana *Nowawes*, jedna ze stacji podmiejskich pod Berlinem — niczym pod Krakowem — ale i *Spreewald*, pięć kilometrów od Berlina, gdzie są jeszcze ludzie mówiący po słowiańsku! I Łużyce prawie pod sam Berlin dochodzące . . .

Jedno ogromne cmentarzysko słowiańskie pod cienkim nawarstwieniem niemieckim — ten kraj cały między Łabą a Odrą.

Natomiast Odra — to znacznie więcej czy znacznie mniej niż cmentarzysko. Ta rzeka byłaby też naszą wierną rzeką, gdyby jej samo państwo polskie nie zdradziło, niedostatecznie w ciągu stuleci broniąc. Nad jej brzegami są zalążki życia od jakże polskiego Raciborza po zalękły Szczecin i Wołyń, których podziemia burzą się i wołają przeciw temu, co się na powierzchni dzieje.

Natrafiamy tu wreszcie i na problematykę współczesnej Polski, nie tylko już na wykopaliska i ciekawostki. Jest to przede wszystkim problem bezpieczeństwa Polski.

W roku 1939 okazało się jawnie, że nasze granice zachodnie nie mogły Wiśle zabezpieczyć pokoju. Bodaj dlatego, że niemasz dla Wisły pokoju bez Odry . . .

Rozumieli to doskonale wielcy budowniczowie Polski, pierwsi Piastowie, i Chrobry i Mieszko. Walczyli oni głównie nie o ujście Wisły, lecz właśnie o ujście Odry. "Odra jest rzeką politycznej koncepcji Polski Piastowskiej," słusznie definiuje Kisielewski.

Należy tu sobie raz na zawsze powiedzieć, że zdrowa Polska nie może być inna niż Polska na zachodzie piastowska. Piastowie wyrąbali swe państwo w zmaganiu się z niemczyzną i w instynktownym, a niezmiernie rozumnym, wyczuciu zależności państwa od jego ziemi i jego wód. Tych rzeczy się nie zmienia. "Poland . . . with her western frontier on the Oder . . . should be assured of permanent life," pisał Alan Graham jeszcze w styczniu roku 1940 — przed przyjazdem do Anglii rządu polskiego — dając tym samym wyraz aktualności programu Piastów *z przed lat tysiąca* . . .

Głęboki instynkt narodu polskiego w tym roku pańskim 1942 powiada — jak Polska długa i szeroka i jak daleki i przestronny jest polski tragiczny exodus — że, jeśli się tak ten naród skrwawił, to chyba w walce o Polskę Chrobrego ! Inaczej krew ta zdawałaby się przelaną na marne i dymićby musiała wiecznym wołaniem o pomstę do nieba.

*

Z książką Kisielewskiego nie chcę się rozstać nie wspomniawszy — choć słowem — o dużym instynkcie poetyckim autora. Dzięki niemu łowi on czuciem wymowę krajobrazu, tego nad Wisłą i nad jeziorami kaszubskimi, tego nad Odrą — w Wołyniu — i nawet tego nad Łabą, którego duszy Niemiec odmienić nie zdołał. Minęła mowa słowiańska Obotrytów i Lutyków, ale bory szumią po dawnemu i po dawnemu gaworzy ścieżka polna :

"Gdy było jeszcze widno, wychodziliśmy na dalekie spacery. Po zejściu z asfaltu rozpoczynały się wiejskie drogi, a nawet zwykłe polne ścieżki. Można było dotknąć bezpośrednio stopami tej ziemi, wejść z nią w najbliższy, najciekawszy i najintymniejszy związek i poprzez ciszę wieczoru i poprzez własne wzruszone zamyślenie. Ścieżki polne szły swoją drogą, a ścieżki gasnącego nieba chodziły — swoją."

Gdzie to było ? Dokąd szły te ścieżki na ziemi i niebie.

"W miejsce, gdzie do słowiańskiej rzeki Łaby . . . wpada rzeczka Jasna, obecnie nazywająca się Jeetze. Tam to leży — Wendland, czyli kraj Wendów, Wenedów."

W ostatecznej genezie — nie skądinąd wywodziły się i Lilla i Roza Weneda !

Do notatki końcowej odsyłam ciekawą i znaczącą paralelę, jaka do książki Kisielewskiego istnieje w literaturze francuskiej. Drugi tom "powieści o energii narodowej" Maurycego Barrèsa, *L'Appel au Soldat* (ten sam właśnie, którego motto zapożyczone jest z *Ksiąg Pielgrzymstwa*) zawiera, w swej środkowej części, długi epizod poświęcony podróży dwu młodych bohaterów książki — po niemieckiej wtedy Lotaryngii, brzegami Mozeli, od Metzu po Trewir i Koblencję. Zamiar autora i rola tej wędrówki odpowiada temu, co dziś widzimy w książce, o której piszemy. Tyle — że dzieje się to nie na wschodnich, ale na zachodnich granicach państwa Raubritterów. Proszę tylko zważyć" : Nous prendrons une leçon de choses. . . . nous nous prèoccuperons de tout ce qui peut fournir les éléments de la connaissance psychologique et politique. Sur ces grands lambeaux disputés entre la France et l'Allemagne tâchons de déchiffrer comment se forme et se deforme une nationalité . . . les diverses Lorraines sont notre pays maternel ; nous savons leur histoire et nous devons retrouver en nous les façons de sentir qu'elles proposent."

W lat dwadzieścia potem, w roku 1919, Barrés przygotowywał nowe wydanie tej książki — po zwycięskim powrocie wojsk Focha do tych ziem. Dodawał wtedy w notatce : "Je reviens de parcourir avec nos soldats triomphateurs ces territories ou s'accomplissent nos voeux, ces territories libérés, épurés, assainis, tout chargé d'espérances. Quelle plénitude de joie !" Tej nieporównanej radości życzymy p. Kisielewskiemu, i jemu i jego czytelnikom.

Junius

NOTY I UWAGI

Z "ELEMENTÓW WSPÓŁCZESNEJ POLITYKI POLSKIEJ"

Niedawno z pewnej okazji padły z bardzo oficjalnego polskiego miejsca słowa potępienia krytyków polityki rządowej, którym wytknięto. iż nie znają wcale "*elementów współczesnej, polityki polskiej*," Jeżeli krytycy tych elementów nie znają, to w takim razie "*Nobody knows Poland's policy*." Tak jednak źle nie jest. Elementy są znane. Znane są skutki tych elementów na sojusz polsko–brytyjski, na sprawę granic wschodnich, na sprawę granic zachodnich i zachodnio–południowych. Tutaj prawdziwa polityka polska będzie musiała odrabiać w pocie czoła "elementy" polityki obecnego rządu.

Jako przyczynek do tych "elementów" i jako dowód dalszych sukcesów polskiej dyplomacji zanotujemy tu wymianę oświadczeń między Francuskim Komitetem Narodowym w Londynie i Rządem Czechosłowacji. Jak wiadomo, rząd Prezydenta Benesza usilnie pracuje nad zniweczeniem Układu Monachijskiego, przyjętego ongiś dobrowolnie przez Czechów oraz przez W. Brytanię i Francję. Życząc Czechom jak najlepiej, musimy jednak pamiętać, że mamy z nimi do załatwienia sprawę niedużych ale bardzo istotnych dla nas terytoriów — t.zn. Śląska Zaolziańskiego.

Poprzednio już rząd Prezydenta Benesza uzyskał potępienie układu monachijskiego przez W. Brytanię i Związek Sowiecki, teraz zaś przez Komitet Narodowy Francuski, reprezentujący Walczącą Francję z generałem de Gaulle na czele. Kiedy jednak Wielka Brytania oświadczyła tylko, że nie uznaje zobowiązań zaciągniętych w Monachium i nie będzie się czuła wiązana postanowieniami układu monachijskiego w momencie nowego ustalania granic Czechosłowacji, min. Mołotow upoważnił Prezydenta Benesza do stwierdzenia, że Związek Sowiecki nie uznaje żadnej zmiany granic czechosłowackich w latach 1938–39. Ponadto Rząd Brytyjski w osobie min. Edena stwierdził, że nie łączy sprawy Śląska Zaolziańskiego z układem monachijskim, która to sprawa winna być załatwiona na "platformie ścisłych i przyjaznych stosunków" obu zainteresowanych krajów.

Komitet Narodowy Francuski poszedł raczej w tych sprawach za Rządem Sowieckim niż za Rządem Brytyjskim. Istotna część listu generała de Gaulle z da 28 września, 1942 do premiera czechosłowackiego ks. Szramka brzmi jak następuje :

"W tym duchu Komitet Narodowy Francuski odrzucając Układy podpisane w Monachium 29 września 1938 r. uroczyście oświadcza, iż uważa te Układy za niebyłe (null and void), jak również i wszelkie akty dokonane w zastosowaniu albo w następstwie tych samych Układów. Nie uznając *żadnych* zmian terytorialnych dotyczących Czechosłowacji, które miały miejsce w 1938 r. i potem, Komitet zobowiązuje się (it pledges itself) do uczynienia wszystkiego w jego mocy, by Czechosłowacka Republika wewnątrz granic, ktore miała przed wrześniem 1938, osiągnęła wszelkie skuteczne gwarancje dotyczące jej wojskowego i gospodarczego bezpieczeństwa, jej terytorialnej integralności i jej politycznej jedności."

Polska prasa oficjalna nie ogłosiła tego oświadczenia, gdyż jest ono wyraźnie zwrócone przeciw słusznemu uregulowaniu naszych granic narodowych z Czechosłowacją. Polska w Monachium nie była i Polska nie potrzebuje niczego odwoływać, a już najmniej tego, że Śląsk Zaolziański jest ziemią polską.

Natomiast wszelkie polityczne czynniki francuskie powinny się zastanowić nad przeszłością i jej błędami i nad przyszłością. Zadaniem polityki francuskiej po Traktacie Wersalskim powinno było być wyrównanie różnic między Polską i Czechosłowacją. To była Francji naturalna rola, a nie podpisywanie układów w Monachium. Mamy niestety podstawy do przypuszczania, że przedwojenna polityka francuska dawała się łatwo sugerować takiej czy innej grupie swoich rodzimych kapitalistów dzierżących akcje takiego czy innego śląskiego przedsiębiorstwa — zamiast pracować wedle zdrowych zasad polityki

międzynarodowej i bezpieczeństwa europejskiego.

Nie należy przeceniać oświadczenia Komitetu Narodowego Francuskiego, ale nie należy też pomijać go milczeniem. Ma ono mniejsze dla nas znaczenie jako akt międzynarodowy, większe zaś jako świadectwo niepowodzenia dyplomacji polskiej. Widocznie Francuzi z Komitetu Narodowego Francji Walczącej nawet z nami przed ogłoszeniem swojego oświadczenia nie rozmawiali. Oświadczenie zaś to idzie o wiele dalej nawet, niż postawa Francji w sprawach polsko–czeskich w okresie ostatniego dwudziestolecia. Tak samo zresztą uważamy, że gwarancje dawane czechosłowackiej politycznej jedności są dość osobliwe. Zależą one więcej od ułożenia stosunków między Czechami i Słowakami, niż od aktów międzynarodowych.

Na uwagę kronikarza politycznego zasługuje, iż ostatnio–17 października, 1942–doszło do zmian w Komitecie Narodowym Francuskim, a w szczególności dotychczasowy komisarz narodowy dla Spraw Zagranicznych p. Maurice Dejean ustąpił swego miejsca p. Rene Pleven, a sam ma objąć bardzo ważny posterunek dyplomatyczny zagraniczny.

SPRAWA HESSA

Rządy Amerykański i Brytyjski wystąpiły z publicznymi oświadczeniami co do odpowiedzialności karnej zbrodniarzy wojennych Osi. Oświadczenia te kładły duży nacisk na zasadę odpowiedzialności *indywidualnej* oraz zasadę przeprowadzenia w każdym wypadku formalnego *procesu*. To wystąpienie uznał Rząd Sowiecki za moment właściwy dla udzielenia odpowiedzi na notę Rządów Krajów Okupowanych przez Niemcy w sprawie odpowiedzialności za zbrodnie wojenne, wysłaną przez te Rządy do Rządów W. Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Związku Sowieckiego Chin oraz Watykanu *jeszcze w lipcu*. W odpowiedzi swojej Rząd Sowiecki domagał się postawienia Hessa natychmiast przed sądem, a w parę dni później *Prawda* ponowiła to żądanie, insynuując, iż status Hessa w W. Brytanii nie jest ustalony oraz zapytując, czy jest on w W. Brytanii traktowany jak zbrodniarz czy może jak . . . poseł hitlerowski. Z kolei min. Eden oświadczył w Izbie Gmin, że Hess jest jeńcem wojennym.

Sprawa ma dwa aspekty: jeden między Sprzymierzonymi z naszej strony, a państwami Osi i głównie Niemcami, — drugi między obu mocarstwami anglosaskimi i Związkiem Sowieckim. Aspekt pierwszy jest nawet ważniejszy, niż drugi.

O co bowiem chodzi przy wydawaniu wszelkich oświadczeń o odpowiedzialności za zbrodnie wojenne i organizowaniu odpowiednich komisyj dla przyszłych sądów międzynarodowych? Naszym zdaniem bardzo ważną rolę tu odgrywa *moment powstrzymania okrucieństw i zbrodni już teraz. To powinno być głównym celem obecnych wystąpień w tej mierze.* Jeżeli zaś te wystąpienia miałyby tylko wzmóc okrucieństwa, byłyby całkowicie szkodliwe. Cóż bowiem nam z odpłaty wrogom, jeżeli pokrzywdzonych nie stanie? Zwycięzców nie sądzą, po wygraniu więc przez nas wojny i tak nic nie stanęłoby na przeszkodzie zasadniczemu uregulowaniu sprawy zgodnie z zasadami cywilizacji, o którą walczymy.

To jedna uwaga — bardzo istotna, bo wystąpienie o stawienie Hessa przed sąd już teraz, napewno nie zahamowałoby dalszych okrucieństw, lecz jedynie by je wzmogło. Rząd Sowiecki musiał sobie z tego zdawać sprawę, jeżeli jednak mimo to z taką sugestią wystąpił, to znaczy, że tych względów nie brał zupełnie pod uwagę. Nie potrzeba tu podkreślać jak istotną jest ta różnica poglądów.

Druga uwaga dotyczy błędnych poglądów zawartych w wystąpieniach wszystkich Rządów Sprzymierzonych. Chodzi tu o poglądy, że śmierć wyłącznie prowodyrów niemieckich byłaby dostateczną odpłatą za zbrodnie. Wcale nie! Głowa Hitlera czy Hessa nie zapłaci nigdy Polakom za śmierć dwustu tysięcy rodaków czy pół miliona, jeżeli ich pół miliona zginęło. Życie Hessa i Hitlera nie jest wcale *więcej* warte dla Polaków, niż życie polskiego chłopa, robotnika czy inteligenta. Trzeba ścigać wszystkich *sprawców* i wykonawców tak, żeby liczba straconych Niemców z Hitlerem i Hessem na czele dorównała liczbie straconych Polaków. Jeżeli taka zasada postawiona nie będzie, w potwornych mózgach niemieckich zrodzić się może myśl, że *nawet opłaci się wymordowywać całe narody za cenę kilkunastu czy kilkuset jednostek niemieckich.* Czy kto z polskiej strony baczy, by ten punkt widzenia znalazł zrozumienie?

Drugi aspekt całej sprawy dotyczy sugestyj wysuwanych ze środowiska sowieckiego, że należy wyjaśnić, czy Hess nie cieszy się może pozycją posła hitlerowskiego w W. Brytanii. . . . Sugestie te pozwalają na snucie rozległych wniosków, czego tu sobie jednak oszczędzimy. Poważne organy prasy angielskiej poświęciły podobnym rozważaniom wiele miejsca. Oczywiście nie ma mowy, by te sugestie były prawdziwe, wysuwanie ich jednak świadczy nie tyle nawet o zamiarach ile metodach polityki sowieckiej. Sprzyjający bardzo Sowietom *The Observer* pisze o "wpychaniu szpilek" i oświadcza wyraźnie, że sprawa postawienia przed sąd Hessa, już teraz, jest *British affair.* Tu właśnie będzie zawsze największej trudności, gdyż pojęcia sowieckie różnią się bardzo od ustalonych pojęć europejskich, co jest czyją wewnętrzną sprawą. Nie ulega też wątpliwości, że autorzy wystąpień w prasie sowieckiej mają na oku także własne społeczeństwo, które tak widzi sytuacje w innych krajach, jak mu je prasa państwowa przedstawia.

NASZ UDZIAŁ W PROWADZENIU WOJNY

"Dziennik Polski" zacytował na czołowym miejscu oświadczenie Prezydenta Roosevelta z jego mowy wygłoszonej na początku października, że dowódcy Sił Zbrojnych Stanów Zjednocz. w Waszyngtonie "spotykają się i obradują regularnie z reprezentantami połączonego Sztabu Brytyjskiego oraz z przedstawicielami Rosji, Chin, Holandii, Polski, Norwegii, Dominiów Brytyjskich oraz innych narodów, współpracujących we wspólnej sprawie." Jeżeli "Dziennik Polski" chciał przez to wyrazić pogląd, że oto już jesteśmy i pracujemy we wspólnym sztabie, to oczywiście nie miał racji. Naszym zdaniem ogół polski w W. Brytanii orientuje się bardzo dobrze, że wielkie cele tej wojny nie są jeszcze w pełni między wszystkimi aliantami uzgodnione i że — jak dotąd — Polska jest w pełni w tej wojnie, ale nie ma udziału w jej prowadzeniu.

W poprzedniej wojnie już od samego początku ograniczono udział w prowadzeniu wojny — Belgii; przedstawicieli belgijskich na wspólnych naradach konsultowano po prostu tylko w sprawach obchodzących najściślej Belgię. Polityka polska w tej wojnie nie potrafiła zapewnić Polsce lepszego miejsca, niż w tamtej otrzymała Belgia. Nie ma co tego ukrywać. W okresie francuskim raz tylko odbyło się posiedzenie Najwyższej Rady Wojennej z polskim współudziałem, najzupełniej zresztą iluzorycznym co do rzeczowej strony posiedzenia.

Mowę Prezydenta Roosevelta należy więc wykorzystać nie do cytowania w "Dzienniku," ale do poprowadzania odpowiedniej polityki. Wiemy dobrze, że siły Zbrojne brytyjskie reprezentują w Waszyngtonie osobistości tej miary, co Marszałek Polny Sir John Dill, Admirał Cunningham i inni. Zdajemy sobie sprawę z rozpiętości strategicznej Imperium Brytyjskiego i Polski, ale czy nasza reprezentacja wojskowa w Waszyngtonie jest utrzymana w odpowiedniej proporcji do brytyjskiej? Napewno nie! Jest ona na miarę raczej Czarnogóry, niż państwa, ktore 40 dywizyj dało w 1939 r. do wspólnej puli wojennej, a potem opór wielkiego kraju i czyny bojowe żołnierzy w conajmniej już dwu częściach świata. Gdzież jest polityka polska na miarę naszego wysiłku wojennego?

ZNIESIENIE KOMISARZY POLITYCZNYCH W CZERWONEJ ARMII

Za ojca systemu komisarzy politycznych w wojsku w naszych czasach musi być uważany Kiereński, który jako premier rosyjski w 1917 roku nie wahał się wprowadzać do armii systemu wieców, osobistych hałaśliwych przemówień i tym podobnej demagogii. Robienie z armii odskoczni osobisto–politycznej zemściło się też srodze na demagogu, nie pojmującym, że polityka ma wojsko kontrolować, ale bynajmniej wojsko nie może stawać się terenem aprobaty posunięć politycznych. Po Kiereńskim przyszli bolszewicy i nie ufając żywiołom fachowo–wojskowym z dawnego reżimu, wprowadzili ścisłą kontrolę hierarchii wojskowej przez hierarchię partyjno–rewolucyjną, co było zresztą zgodne z ich doktryną polityczną.

Po wojnie w Finlandii zniesiono stanowiska komisarzy politycznych w Armii Czerwonej, przywrócono je jednak — zapewne pod wpływem doświadczeń na froncie —w pierwszym okresie wojny z Niemcami. Nie ulega kwestii, że postawa Czerwonej Armii — jako masy ludzkiej — w 1941 roku wobec najazdu niemieckiego nie była zupełnie skrystalizowana. Okrucieństwa niemieckie, popełniane na jeńcach i ludności cywilnej, przekonały jednak masy żołnierskie lepiej, niż co innego, o konieczności walki na śmierć i życie. Przekonanie to rozpowszechniało się coraz bardziej, zwłaszcza że kierownictwo centralne sowieckie umiało to wykorzystać. .

Ostatnio — 9 października 1942 — Rząd Sowiecki raz jeszcze zniósł stanowiska komisarzy politycznych w armii, zaznaczając w dekrecie, że korpus dowódców "udowodnił swoją lojalność wobec *Ojczyzny.*" Mieliśmy sposobność już niejednokrotnie zanotować spostrzeżenia różnych obserwatorów brytyjskich i polskich o objawach wzrostu patriotyzmu i uczuć narodowych rosyjskich w wojsku sowieckim. W zniesieniu komisarzy politycznych w armii widzimy obecnie, że z ewolucji pojęć w masach sowieckich zdaje sobie przede wszystkim sprawę Stalin, który też rozumie co oznacza politycznie przy takiej atmosferze nastawienie swoich żagli na nowy kierunek wiatrów. Objawem wtórnym dokonanej w wojsku sowieckim reformy będzie przesunięcie kilkudziesięciu tysięcy komisarzy politycznych, z których wysoki procent musi mieć duże doświadczenie bojowe, do korpusu dowódców. Śmiała to reforma z punktu widzenia wojskowego, ale mająca swoje racje.

ODDZIAŁY POLSKIE W ARMII AMERYKAŃSKIEJ

Niedawno " Dziennik Polski " doniósł, że w ramach Armii Stanów Zjednoczonych mają powstać oddziały polskie do szczególnych zadań bojowych. Językiem służbowym w oddziałach ma być język polski, składać się one mają wyłącznie z Polaków "urodzonych w Ameryce czy też w Polsce." Oddziały te przyjmują ochotników — na razie formują kadry oficerskie . . .

Jest to sprawa zbyt ważna, żeby nie poświęcić jej baczniejszej uwagi. Tworzenie oddziałów polskich w Armii Amerykańskiej dowodzi, że z Polonii Amerykańskiej można było czerpać żołnierza dla Polski i że w tej Polonii był i duch i materiał żołnierski. Rząd generała Sikorskiego nie potrafił przekuć tych wartości potencjalnych na wartości aktualne . . . Dlaczego? Wieleby można się o tym dowiedzieć, gdyby się przestudiowało dokładnie składy osobowe różnych wypraw do Ameryki, organizowanych przez Rząd nasz z Angers czy z Londynu. Wartoby, żeby ktoś te dane wynotował . . . Nigdy nie posłano nikogo z Obozu Narodowego. Starannie odcinano Polonię Amerykańską od polskiego rodzimego ruchu narodowego. W każdym razie po przeglądnięciu, pobieżnym nawet, tych personaży nie można się dziwić, że ani staruszkowie rządowi, ani inteligenci oderwani od związku z ludem, ani marksistowscy gębacze ani wreszcie tak obficie podsyłani za każdym razem Żydzi, nie mogli znaleźć wspólnego języka z emigracją chłopsko-robotniczą (przeradzającą się w mieszczaństwo) o nastrojach narodowych i głębokim przywiązaniu do religii ojców. Po prostu obie strony nie rozumiały się całkowicie. Poświęcony zaś tym sprawom w głównej mierze pierwszy wyjazd premiera Sikorskiego do Ameryki również nie wywarł wpływu, bo i tym razem nie naprawiono błędów poprzednich, a nawet dodano nowe, — nie załatwiwszy takich spraw jak zasiłki, renty i t.d. Myślano, że frazesem można prześlizgnąć się przez takie zagadnienia jak organizowanie nowoczesnej armii z obywateli, czy tylko mieszkańców, obcego kraju o bardzo wysoko rozwiniętej strukturze gospodarczej.

Wobec takich doświadczeń należy się dziś obawiać, że i tworzenie nowych oddziałów polskich w armii amerykańskiej może nie być tym, czym być powinno. Wprawdzie występuje tam z ramienia społeczeństwa polskiego niezwykle ceniony i zasłużony działacz Polonii pułkownik dr. T.A. Starzyński, prezes tamtejszego Sokolstwa, ale jemu i jego przyjaciołom należy się pomoc i ułatwienie, jeśli idzie o wstępowanie do tych szeregów Polaków z poza Ameryki. Raz wreszcie trzeba te sprawy traktować nie w ramach kliki czy partii, ale na pełnej zasadzie narodowej. O istnienie naszego narodu walczymy przecież w tej wojnie.

KRZYWDA INWALIDÓW

Związek Inwalidów Woj. Armii Polskiej w W. Brytanii przysłał "Myśli Polskiej" kopię memoriału przeznaczonego dla p. Premiera, a rozpowszechnianego w odpisie jako list otwarty. Stało się tak dlatego, że urzędnicy biura Prezydium Rady Ministrów (pp. Romer i Eydziatowicz) nie dopuścili delegacji Związku z memoriałem do p. Premiera, jakkolwiek chodzi tu o Związek przez władze polskie już na terenie W. Brytanii osobnym pismem uznany i legalizowany. Oczywiście niewiadomo, czy urzędnicy Prezydium Rady Ministrów działali na własną rękę, czy też otrzymali instrukcje niedopuszczenia delegacji do Premiera. I w jednym i w drugim wypadku sprawa przedstawia się co najmniej osobliwie i zgoła nie demokratycznie.

Na początku swego memoriału Zarząd Związku Inwalidów pisze o wielu poprzednich "bezskutecznych zabiegach u kompetentnych władz R.P." Odpowiedni memoriał złożyli inwalidzi w październiku ub.r., następnie chodzili wiele razy do różnych biur i urzędów, nigdy jednak nie zostali wysłuchani jak należy i postulatów ich nie załatwiono. Sądzili, że skoro dojdą do samego Premiera, ten wreszcie ich wysłucha. Liczyli na to, że zechce ich przyjąć jak żołnierz b. żołnierzy, z których wielu walczyło pod jego rozkazami . . . .

Na wstępie swego memoriału Zarząd Związku Inwalidów skarży się na Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej, które nie tylko — twierdzi Zarząd Związku — zupełnie negatywnie odnosi się do postulatów inwalidzkich, ale nie przebiera w środkach by rozbić sam Związek. Szczególnej ironii nabierają w memoriale słowa, iż metody rządowe w stosunku do inwalidów i ich Związku przypominają "aż do złudzenia" metody pomajowe w Polsce oraz słowa o duchu demokracji, którym powinien się Rząd kierować przy załatwianiu spraw inwalidzkich. Poniżej przytaczamy w brzmieniu dosłownym zawarte w memoriale

POSTULATY

1) Prosimy o przyśpieszenie i szybkie wykonanie przepisów o zaopatrzeniu inwalidzkim z prawem wglądu do projektu ustawy inwalidzkiej czynnika społecznego, jakim jest Związek Inwalidów Woskowych.

Uzasadniając wymieniony wyżej punkt, podkreślamy, ze stosowanie ustawy o powszechnym obowiązku służby wojskowej wraz z restrykcjami pozbawiania obywatelstwa' a równoczesnie niestosowanie ustawy o zaopatrzeniu inwalidzkim, jest już nietylko sprzeczne z prawem i demokratyčznymi zasadami moralności oraz życia państwowego, lecz wpływa również hamująco na postęp rekrutacji do szeregów Armii a także znacznie podważa psychikę żołnierza, co w sumie powoduje poważne osłabienie naszego wysiłku wojennego.

2) Prosimy o natychmiastowe wydanie zarządzeń zmierzających do poprawy bytu Inwalidów przez podwyższenie tak zwanego billettingu do norm pozwalających na utrzymanie się oraz wypłacenie jednorazowej a godziwej zapomogi odzieżowej w związku ze zbliżająca się zimą, a to do czasu wprowadzenia w życie właściwej ustawy o zaopatrzeniu inwalidzkim.

Uzasadniając wymieniony wyżej punkt, zaznaczamy, że otrzymywana obecnie przez Inwalidę kwota Ł. 6.12.0 mająca wystarczyć na całomiesięczne utrzymanie, w obecnych warunkach drożyzny wojennej nie pozwala na najskromniejsze utrzymanie człowieka oderwanego od rodziny i życia zespołowego, przyczem przeciętny standart według oficjalnych notowań czynników brytyjskich jest dwukrotnie wyższy. Nadmieniamy, że zdarzały się i nadal nawet mają miejsce wypadki "żebraniny" wśród Inwalidów co chyba nie przysparza dobrego imienia b. żołnierzowi polskiemu.

3) Prosimy o równomierne traktowanie w świadczeniach Inwalidów tak z okresu niepodległości Polski, jak kampanji : wrześniowej, francuskiej, norweskiej, włączając Inwalidów Sił Powietrznych oraz frontu morskiego (marynarka wojenna i handlowa).

4) Prosimy o utworzenie specjalnej stałej Komisji wojskowo lekarskiej z czynnikiem społecznym (Delegat Związku, oraz lekarz z ramienia Związku), którаby stanowiła o właściwym i należytym stopniu inwalidztwa.

Wymieniony wyżej punkt odnosiłby się do definitywnego określenia stopnia inwalidztwa.

5) Prosimy o przyznanie każdemu zwolnionemu ze służby czynnej na podstawie orzeczenia Komisji wojskowej rewizyjno-lekarskiej w okresie pobytu za granicami Polski zryczałtowanej renty w wysokokosci conaj, mniej Ł. 15.0.0 miesiecznie.

Powołujemy się w tym wypadku na sposób załatwienia sprawy utrzymania Inwalidów Armii Czechosłowackiej.

6) Wobec sabotowania interesów inwalidzkich i prowadzenia destruktywnej roboty w gronie Inwalidów, zwłaszcza przez obecnego Delegata dla spraw inwalidzkich przy Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej p. Tadeusza Ćwika, domagamy sie przeniesienia nas z resortu podlegającego Min.Pr. i Op. Społ. z utworzeniem oddzielnego referatu inwalidzkiego, kierowanego przez czynniki niezwiązane z Ministerstwem Pr. i O. Sp.

7) Prosimy o zastąpienie odpowiednimi wojskowymi funkcjonarjuszy państwowych, ktorzy mogą odbywać obowiązek czynnej służby wojskowej w szeregach Armii, względnie w przemyśle wojennym, i nam jako Inwalidom wojskowym przyznanie praw pierwszeństwa przy obsadzaniu posad państwowych.

Uzasadniając wymieniony wyżej punkt, powołujemy się na uchwałę Rady Ministrów w tej sprawie z dnia 8 czerwca 1940 r. ogłoszoną w Dzienniku Ustaw R.P. Nr. 12 z dnia 28.8.1940.

Jesteśmy głęboko przekonani o słuszności naszych życiowych postulatów i mamy niezłomną nadzieję, ze Pan Panie Premierze, uczyni wszystko, by polepszyć byt inwalidy wojskowego, aby resztki jego sił zachować dla odbudowy Najjaśniejszej Rzeczypospolitej — Polski.

Następują podpisy przedstawicieli Zarządu Związku.

Jak się dowiadujemy, praktyka wobec całej rzeszy inwalidów wojennych nie odbiega wcale od praktyki w wypadkach indywidualnych. Prawo Rzeczypospolitej nie jest przestrzegane, w wielu wypadkach odrzucane są nawet pozory. Wypadnie może do tych spraw powrócić.

TO NIE JEST "SWORD OF THE SPIRIT"

W roku ubiegłym, z inicjatywy ks. Kardynała Hinsleya została założona organizacja p.n. "*Sword of the Spirit*" (Miecz Ducha), mająca za cel pogłębianie i rozszerzanie poglądu katolickiego w związku z zagadnieniami obecnej wojny. Przy organizacji tej powstał szereg sekcyj narodowych, między innymi sekcja polska, wydająca dwutygodnik "*Sprawę*." Powstała również sekcja francuska, jednakże w przeciwieństwie do pozostałych grup narodowych nie starała się odzwierciedlać poglądów ogółu katolików francuskich, ale ograniczyła się głównie do kółka nawróconych Izraelitów, którzy przed wojną skupiali się przy piśmie "*Le temps présent*," wydawanym przez Jacques Maritaina.

Duszą tej grupki jest p. Mira Benenson, a jej organem miesięcznik, początkowo wydawany pod nazwą "*Le Glaive de l'Esprit*,"

następnie zamieniony na "*Volontaire pour la Cité Chrétienne.*" Pismo to w artykule wstępnym (Nr. 7) uznało za rzecz najbardziej stosowną wystąpić z atakiem na "apatię biskupów polskich w obliczu antysemityzmu, szerzącego się w ich kraju."

Artykuł powyższy jednak spotkał się z reakcją stanowczą kierowników "*Sword of the Spirit*," którzy nie chcieli, by tego rodzaju wystąpienia robione były pod egidą ich organizacji. Na ich żądanie z nagłówka "*Volontaire*" usunięty został podtytuł "*Organe du Glaive de l'Esprit*' (Organ "*Miecza Ducha*") — i od tej chwili pismo to, nawet pośrednio, w niczym nie reprezentuje tej organizacji i jest wyłącznie wyrazem opinii która je — we własnym imieniu —publikuje.

POLSKA CZY P.P.S.?

Ciekawą relację o występie urzędnika Ministerstwa Przemysłu, Handlu i Żeglugi oraz znanego działacza P.P.S. red. Szapiry przeczytaliśmy w dzienniku "*The Scotsman.*" Oto na tygodniowej konferencji prasowej w Edynburgu p. Szapiro podał do wiadomości prasy szkockiej treść projektu ustroju powojennego Polski, ogłoszonego niedawno w "*Robotniku,*" a nadesłanego z Kraju od tamtejszych działaczy socjalistycznych. Nie omieszkał przy tej sposobności poinformować Szkotów, że właśnie jest pięćdziesiąta rocznica powstania P.P.S. i że ta partia została założona w Paryżu.

Nie wydaje się nam właściwe, by wysocy urzędnicy Rządu Polskiego szerzyli na terenie międzynarodowym propagandę swojej partii politycznej. Ale nawet nie to w wystąpieniu p. Szapiry było najważniejsze.

P. Szapiro ogłosił bowiem, że w Polsce *przygotowuje się powstanie* i że lud polski (p. Szapiro nie używa słowa naród) *ma jeszcze broń* i użyje jej przeciw Niemcom. Opublikował dalej p. Szapiro, że sabotaż w Polsce uprawiany jest na ogromną skalę, że wykolejane są pociągi i t.p.

Zapytujemy, jakie prawo ma p. Szapiro do podobnych wystąpień i kto go do tego upoważnił? Czy p. Szapiro i jego mocodawcy rządowi zdają sobie sprawę z tego, że w ślad za takim wystąpieniem p. Szapiry znowu mogą w Polsce zabłysnąć topory niemieckie i najszlachetniejsza krew polska popłynie dlatego tylko, że publiczne wystąpienia w sprawach polskich zlecane są zagranicą Szapirom? Wiele rzeczy można będzie w przyszłości tłumaczyć i wyjaśniać, ale narażanie i dyskontowanie krwi polskiej przez Szapirów nie będzie mogło być ani wytłumaczone ani zapomniane.

Milczenie o wystąpieniu p. Szapiry zarówno w "*Dzienniku Polskim,*" jak i samym "*Robotniku*" świadczy tylko o zakłopotaniu, jakie w kołach prasy rządowej wywołało wystąpienie p. Szapiry.

Z PRASY I PUBLICYSTYKI

KŁOPOTY IDEOLOGICZNE ŁACIŃSKIEJ AMERYKI

Ameryka Południowa zwraca na siebie coraz baczniejszą uwagę, ze względu na swe rosnące znaczenie wojenne i, silniejsze może jeszcze, powojenne. *Contemporary Review* zajmuje się również barometrem ideologicznym, wskazującym tam pewne niepokoje i troski, płynące zresztą z Europy.

"Nigdzie na świecie konfuzje ideologiczne nie sprawiły większego zamieszania w opinii publicznej niźli właśnie w Łacińskiej Ameryce. Nawet ci Amerykanie południowi, których tradycyjne sympatie są po stronie demokracji, podzielają powszechną antypatię swych braci łacińskich względem komunizmu. Nie będzie przesadą stwierdzić, że ci demokraci byliby z całego serca i od samego początku poparli sprawę Aliantów, gdyby nie za silne dla nich pomieszanie pojęć ideologicznych. Główny trzon opinii katolickiej w tej części świata z trudnością wierzy temu, by zwycięstwo alianckie było równocześnie zwycięstwem cywilizacji chrześcijańskiej. I jakkolwiek piętnują oni nazizm jako antychrześcijański, piętnują oni również i bolszewizm jako bardziej jeszcze antychrześcijański."

Rzeczywiście sytuacja kłopotliwa. Jednakowoż rosnące nastroje proalianckie w tych krajach łacińskich zdają się świadczyć, że nabiera się tam powoli wiary w powojenny świat chrześcijański, a nie komunistyczny.

O ZACHODNIEGO SĄSIADA ROSJI

Na łamach *Spectator*'a toczyła się od szeregu tygodni polemika około książki *Russia and her Western Neighbours*, pp. George W. Keeton'a i dr Rudolf'a Schlesingera. Obecnie polemika ta jest zakończona i dlatego się nią — syntetycznie — tu zajmujemy.

Książka, o której mowa, bardzo łatwo i rudymentarnie zajmowała się realizacją znanych żądań sowieckich oraz nie mniej znanych nadziei niemieckich, a nawet hitlerowskich (sic) na niekorzyść Polski. Sprawozdawca książki p. Schlesingera — drugi Niemiec-emigrant (t.zw. dobry Niemiec), p. Borkenau, nie zgłaszał tu zgoła zastrzeżeń, wręcz przeciwnie. I książka i recenzja spotkały się z zastrzeżeniami, poczym nastąpiły repliki i dupliki. Ostatecznie dyskusja została zamknięta na następującym liście p. Spencer'a Curtis Brown'a:

"W odpowiedzi swej na mój list dr. Schlesinger zapewnia, że nie rozwija propagandy przeciw jednemu ze sprzymierzonych i w dowód przytacza rozdział VI str. 74 ss. swojej książki. Na tych to właśnie stronicach możemy przeczytać, że Gdańsk powinien po wojnie wrócić do Niemiec i że Niemcy winny dostać extra-terytorialną drogę łączącą je z Prusami Wschodnimi. Były to właśnie żądania Hitlera z marca 1939.— Dr Schlesinger powiada dalej (str. 121), że basen Dunaju oraz Bałkany są naturalną sferą germańskiego wpływu i uważa, iż federacja dunajska z udziałem Austrii mogłaby dojść do skutku jedynie pod warunkiem, iżby nie prowadziła polityki anty-niemieckiej.

"Gdyby Niemcy były znowu panem Gdańska i gdyby stały się jedynym pośrednikiem między środkowo–wschodnią Europą a resztą świata, osiągnęłyby drogą pokojową owe dominujące stanowisko, które Nazizm próbował uzyskać wojną. Byłaby to najpewniejsza droga do nowej wojny. Pokój światowy w szerokiej mierze zależeć będzie od otwarcia terytoriów na wschód od Niemiec dla bezpośredniego handlu światowego, oraz od ich uprzemysłowienia celem uczynienia ich niezależnymi od Niemiec. Osłabiona Polska, wykluczona z federacji z innymi państwami środkowej Europy oraz pozbawioną Gdańska (a właśnie to wszystko proponuje dr. Schlesinger), uniemożliwiłaby to wszystko i usunęłaby największą przeszkodę dla niemieckiej kolonizacji nie tylko samej Polski ale i wszystkich innych państw tego obszaru.

"Oczywiście byłoby bardzo pomocne dla niemieckich planów wygrania wojny, gdyby można Polskę osłabić nie tylko przez utratę Gdańska ale i na wschodzie przez odstąpienie terytoriów, co do czego panuje zgoda między dr. Schlesingerem a Hitlerem. Nie mam zamiaru poruszać tu sprawy zachowania się i popularności komunistycznego reżimu w tych wschodnich prowincjach Polski. Od tego czasu staliśmy się dłużnikami Rosji. Powiem tylko, że jest szczególną naiwnością ze strony dr Schlesingera jeżeli szuka dowodów antykomunistycznego nastawienia — właśnie w prasie sowieckiej."

List ciekawy i pouczający: p. Curtis Brown należy do tych dziennikarzy, którzy nie lubią pisać na wiatr, przed tym się nie udokumentowawszy. Lubi on bardzo dzwony, ale chce wiedzieć w jakim to dzwonią kościele.

PIERWSZE OZNAKI

Belgijski minister sprawiedliwości i informacji p. Delfosse przybył świeżo z Belgii, skąd zdołał zbiec. Cytujemy za *Daily Telegraph'em* bardzo ciekawe, a tak świeże, jego spostrzeżenia z Belgii, dokąd "spływają istne strumienie ewakuowanej ludności z Kolonii i innych miast nadreńskich."

"Belgowie, stwierdza p. Delfosse, mają możność zauważenia oczywistych oznak powolnej niemieckiej dezintegracji, która zapowiada końcowe załamanie się. Żołnierz niemiecki, przed tym taki żwawy i ruchliwy, nie posiada już entuzjazmu co do powodzenia wojennego. O ile przybywa z rosyjskiego frontu, odczuwa poprostu prawdziwe przerażenie na myśl o powrocie tam. Mówi o walkach na Wschodzie z odcieniem grozy, jako o ciężkiej zmorze. Dezercje się mnożą.

"Według mojego zdania, i zdania moich ziomków, znajdujemy się w roku 1918. Niemcy, tak na froncie wewnętrznym, jak i na froncie zewnętrznym, są przed załamaniem się. Niewiadomo tylko jak długo potrwa walka ostateczna."

To stwierdzenie ostatnie jest ważne. Ostatni etap walki może potrwać znaczniej dłużej, niżby się z tu podanych wrażeń wydawało.

KATOLICCY NACJONALIŚCI W CHORWACJI

Może najbardziej sprawdzone wiadomości w prasie światowej ukazują się w londyńskim *The Times*. I dlatego ciekawe jest, że właśnie ten dobrze poinformowany dziennik zaczyna coraz większą uwagę okazywać ruchom narodowym w poszczególnych krajach europejskich i roli, jaką te ruchy odgrywają w walce z najeźdźcami niemiecko-włoskimi. Oto wyjątek z relacji o stosunkach w Chorwacji:

"Wypadki wrześniowe wymowne są dla warunków panujących w tej części Jugosławii. W samym Zagrzebiu, gdzie rząd Pawelicza twierdzi, że sprawuje władzę — z pomocą wojsk niemieckich, włoskich, Gestapo i własnej armii "Ustaszi" złożonej z fanatyków i awanturników — dziesięć osób zostało straconych rzekomo będących konspiratorami komunistycznymi. Byli to wszystko katoliccy i nacjonalistyczni Chorwaci, ale powiedzieć to otwarcie byłoby zbyt niebezpiecznym wyznaniem dla Pawelicza i jego przyjaciół.

W Dugo Selo, 16 mil na wschód od miasta, nieznani sprawcy zabili niemieckiego oficera i jego ordynansa, więc dwudziestu chorwackich zakładników zapłaciło za to swoim życiem. W Pushcha (Pusca), w tej samej odległości na zachód od Zagrzebia, również "nieznane osoby" porwały i zabiły głównego administratora z ramienia Ustaszi. Obietnice wysokiej nagrody, jakolwiek połączone z obietnicami zatrzymania w tajemnicy nazwisk informatorów, okazały się nieskuteczne. Dwa tory kolejowe do Belgradu zostały przerwane i pociągi pośpieszne wykolejone w Popovacha i Sisak. Linie do Fiume i Spalato zostały wielokrotnie unieruchomione w obrębie 35 mil od Zagrzebia. Jeszcze dalej bandy partyzanckie chorwackie, złożone z niewielu komunistów, ale głównie z katolickich nacjonalistów, utrzymały się przeciwko Włochom w każdym powiecie w Dalmacji oraz w górach blisko granicy niemieckiej."

Sprawozdawca "*Dziennika Polskiego*", obficie korzystając z powyższego doniesienia *The Times*, starannie powycinał wszelkie wzmianki o katolickich nacjonalistach w Chorwacji.

Z AMERYKAŃSKICH ZAGADNIEŃ

Wielka republika Stanów Zjednoczonych A.P. ma także swoje problemy narodowościowe, a jednym z nich jest również problem żydowski. Ciekawie przedstawia jeden z objawów tego problemu wybitny dziennikarz waszyngtoński W. M. Kiplinger w założonym przez siebie piśmie "*Washington is like that*." Oto jego uwagi wedle tekstu streszczonego w "*Readers Digest*":

"Aż do roku 1933 nikt nie zwracał szczególniejszej uwagi na zagadnienia "Żydów w aparacie rządowym." Od wtedy dwa zdarzenia miały miejsce. Objęcie władzy przez Hitlera nadało rozpęd światowej krucjacie propagandowej przeciw Żydom. A także Nowy Ład (New Deal) doprowadził dużą liczbę Żydów do naszego aparatu rządowego.

Jakież są fakty? Przede wszystkim Rząd nie rejestruje przynależności religijnej ani przodków swoich urzędników. Ułatwia to agitatorom twierdzenie, iż nadmierna część pracowników rządowych to Żydzi, — i to samo utrudnia odparcie takich twierdzeń.

Każdy jednak doświadczony obserwator stosunków waszyngtońskich zna prawdę w przybliżeniu. Cztery procent ludności Stanów Zjednoczonych tworzą Żydzi. Wedle mego zdania liczba Żydów w aparacie rządowym nie przekracza tej proporcji.

Lecz moja obserwacja podaje mi również, iż Żydzi zajmują u nas bardzo wpływowe stanowiska — iż z całej wagi wpływów w aparacie rządowym Żydzi mają więcej, niż cztery procent. Można to interpretować jako zarzut przeciw Żydom bądź jako pochwałę ich zręczności. Nie mam na myśli ani jednego ani drugiego. Podaję jedynie spostrzeżenia faktyczne.

Najbliższe pytanie brzmi, czy istnieje tam jednolity "wpływ żydowski." Gdyby tak było, byłoby źle, ponieważ nie życzymy sobie, żeby polityka nasza kształtowała się pod nadmiernymi wpływami czy to żydowskimi, metodystycznymi, katolickimi, harwardzkimi czy kalifornijskimi. Czy Żydzi trzymają się razem w swojej postawie wobec zagadnień publicznych? Nie. Są oni szeroko porozdzielani wśród siebie. Nie więcej zgadzają się we wszystkim, niż nie - Żydzi. Wykliną się nawzajem podobnie jak inni. Społecznie nie chodzą też wyłącznie sami ze sobą. Nie ma czegoś takiego, jak "wpływy żydowskie" w aparacie rządowym. Nie ma ani głęboko osadzonej czarnej "konspiracji żydowskiej" ani nawet "żydowskiej jedności."

Lecz nie cała to jeszcze historia. Żydzi skoncentrowali się w niewielu działach aparatu rządowego, gdzie są już poza proporcją, gdzie dla swej liczby rzucają się w oczy, gdzie mają ścisły kontakt z publicznością.

Chodzi tu o działy takie, jak Komisja Obligacyj i Giełdy, Departament Pracy, Komitet Narodowy Zagadnień Pracy, Komitet Ubezpieczeń Społecznych i niektóre urzędy Departamentu Sprawiedliwości. Tu Żydzi są tak liczni, iż nie można się dziwić, że publiczność załatwiająca z nimi sprawy dochodzi do przekonania, iż Żydzi równie licznie znajdują się w całym aparacie rządowym. Jest to błąd i trzeba mu zaradzić przez obniżenie proporcji Żydów w tych urzędach. Od wewnątrz to nie musi być wadą, na zewnątrz jednak wygląda to nieodpowiednio takie obsadzenie urzędów publicznych przez ludzi z jakiejkolwiek szczególnej grupy.

Działy, w których Żydzi są nieproporcjonalnie liczni są działami pełnymi "tarć." Działy te zostały ustanowione dla przeprowadzenia pewnych reform. Ludność dotknięta reformami zwykle ich nie lubi. Może więc ona przenieść swoją irytację z reform na żydowskich urzędników, którzy je stosują, właśnie jak ludzie szemrający na policjanta kierującego ruchem ulicznym, a mający właściwie na myśli niedogodności przeciążenia samego ruchu.

W niektórych zajęciach wewnątrz aparatu rządowego Żydzi niewątpliwie przekroczyli proporcję czterech procent. Są to zajęcia prawników, ekonomistów, statystyków.

Jednym z powodów tego jest fakt, iż Żydzi doświadczyli, iż z trudem tylko znajdują prywatne zatrudnienie, specjalnie od kiedy antysemityzm zaczął się rozpowszechniać z nazistowskich Niemiec. Wykształceni młodzi Żydzi, co tylko z uniwersytetów, zastają drogę do prywatnych zawodów zamkniętą, lecz nie do zajęcia rządowego, więc naturalnie biorą to, co mogą dostać.

Co się tyczy kwalifikacyj żydowskich urzędników ich przeciętny poziom jest bez kwestii wysoki. Mówi się zwykle, iż Żydzi muszą ciężej pracować, niż nie - Żydzi, żeby nadrobić przeciwżydowskie uprzedzenia, w każdym razie Żydzi w aparacie rządowym ciężko pracują, gorliwi są w pracy i w wypadkach szczególnych.

Jeżeli nacisk przeciw młodym Żydom w przedsiębiorstwach prywatnych trwać będzie nadal, rezultatem jego prawdopodobnie będzie wciśnięcie w przyszłości jeszcze większej ich liczby do aparatu rządowego. Ta perspektywa już się zarysowuje. Wielu młodych Żydów składa egzaminy do służby państwowej, przechodząc je z wysokimi stopniami, i uzdatniając się do nominacyj rządowych. W dalszym biegu rzeczy zostaną oni zaangażowani, ponieważ kierownicy personalni administracji przestrzegają przepisów o służbie państwowej, które nakazują przyjmowanie osób z najlepszymi wynikami egzaminów. Polityka ta nie jest ani semicka ani antysemicka. Jest to normalny młyn systemu urzędniczego.

Niektórzy żydowscy przywódcy zaczęli powoli się opierać zatrudnianiu zbyt wielu Żydów przez aparat rządowy. Z drugiej strony nieżydowscy urzędnicy rządowi działający pod kierownictwem Prezydenta, usiłują iatrudnić w różnych działach więcej Żydówi z w ten sposób przeciwdziałać dyskryminacj którą przeciw nim stosowano w przeszłości, oraz uzgodnić praktykę obecną z głoszeniem równych praw dla wszystkich mniejszości.

Nie-Żydzi, 96 % ludności, powinni uznać, że żydowscy obywatele są obywatelami i są uprawnieni do uczestniczenia w aparacie rządowym z tymi samymi prawami co inni obywatele.

Żydzi, cztery procent, powinni zastanowić się nad faktem, iż przy normalnym funkcjonowaniu aparatu rządowego obecnego reżimu osiągnęli oni zniesienie dyskryminacyj przeciw nim albo są na drodze do zniesienia tych dyskryminacyj. Najbliższy krok dla nich to unikać nadmiernego przeładowania aparatu rządowego obywatelami żydowskimi. Gdyby doszło do takiego przeładowania, spowodowałoby to szemranie obywateli, którzy nie są antyżydowscy, ale którzy odrzucają nadmierną reprezentację w aparacie rządowym, albo tylko w pewnych działach nawet, członków jednej tylko jakiejś grupy.

Jeżeli takie poczucie sensu okazane zostanie przez 96 procent i przez 4 procent, może ostatecznie ten problem znajdzie swoje rozwiązanie i stanie się tym, czym być powinien — sytuacją bez problemu."

WAVELL O IMPROWIZOWANYCH WODZACH

Generał Sir Archibald Wavell należy do wyjątkowych, choć zrzadka napotykanych wodzów, którzy ciekawie piszą, a piszą ciekawie dlatego, że mają odwagę krytycznego myślenia. Co za tym idzie mają i odwagę patrzenia w krytykę i postawienia samejże krytyki pod sąd krytycznego myślenia.

Times zamieszcza znów, jak przed kilkunastu miesiącami, cykl artykułów Wavell'a. Idzie w nich ni mniej ni więcej, tylko o zrozumienie na czym polega genialność wodza, i jacy wodzowie w historii tym kryteriom odpowiadali?

Cytujemy tu ustęp następujący, nie dwuznacznie piętnujący fachowe nieprzygotowanie

u improwizowanych generałow: "*Geniusz* jest terminem bardzo zawodnym w zastosowaniu do sztuki wojennej, jeżeli ma oznaczać, jak się to nieraz zdarza, że ktoś jest tak uzdolniony z natury, iż uzyskuje sukcesy raczej z natchnienia niż poprzez wiedzę. Co prawda nie pasuje do dowódzcy i definicja genialności przypisywana Carlyle'owi, a twierdząca, że geniusz polega na nieskończonej zdolności do trudu i pracy." Dobrzy generałowie, wręcz inaczej jak poeci, są raczej urobieni niż urodzeni (are made rather than born), i nigdy nie osiągają pierwszego rzędu bez dokładnego studiowania swego zawodu. Muszą jednakowoż mieć i pewne naturalne uzdolnienia, jak władza szybkiej dycyzji, sąd, śmiałość, i, bodaj ogromny stopień wytrzymałości fizycznej, a nawet twardości. Te ostatnie cechy są coraz cięższe do znalezienia w miarę postępu cywilizacji. Hamlet, najbardziej utalentowany z bohaterów Szekspira, może jedyny, którego możnaby obdarzyć tytułem "genialnego" — byłby najoczywiściej był wodzem raczej obojętnym, wcale nie zdolnym do powzięcia szybkiej decyzji. Co prawda Otello doświadczony żołnierz, zgrzeszył znów powzięciem zbyt szybkiego postanowienia — w sprawie Desdemony."

Ni Hamlet więc ni Otello . . . . Jakżeż trudno być generałem! A jeszcze ściślej: jakżeż trudno być *dobrym* generałem!

WEYGAND

Daily Telegraph zamieszcza urywek z mającej się niebawem ukazać książki dwu Amerykanów pp. Forrest Davis'a i Ernesta K. Lindley'a p.t. *How the war came*, a poświęconej misji admirała Leahy we Francji, w miesiącach poprzedzających wojnę japońską. Książka zapowiada się niezwykle ciekawie, jako świadectwo amerykańskie o tym, co się działo w Vichy.

W urywku drukowanym przez *Daily Telegraph* uderza następujący obraz generała Weyganda:

W Vichy szła gra dyplomatyczna skierowana przeciw Stanom Zjednoczonym i Sprawie Atlantyckiej. Inaczej w Algierze. W tej stolicy Afryki Północnej dumy i godny (fiercely proud) Weygand . . . odmówił narażenie na szwank swego honoru. Weygand opierał się o tekst północno-afrykańskiego układu.

"W czerwcu 1941 Petain wezwał go do Francji . . .

"Żądanie skierowane przez Darlana pod adresem Weyganda w Algierze i w Vichy dotyczyły stopniowej infiltracji portów północno-afrykańskich wraz z Casablanką przez "ekspertów" nazistowskich, podziału obrony prokonsulatu z Niemcami, wreszcie zamierzonej kampanii przeciw Wolnym Francuzom i Afryce Równikowej.

"Weygand kategorycznie odrzucił wszystkie te żądania. W szeregu burzliwych posiedzeń z udziałem Darlana generał Weygand odmówił jakiegokolwiek przekroczenia brzmienia warunków *armistice'u*, odmówił wyprawy skierowanej przeciw Wolnym Francuzom, wreszcie jawnie potępił działalność Deutza w Syrii.

"O opokę oporu Weyganda rozbiła się kollaboracja francusko-niemiecka w czerwcu roku 1941."

To ciekawe i wymowne świadectwo amerykańskie należy zapamiętać. Amerykanie mieli możność oglądania z bliska wypadków francuskich o półtora roku dłużej, aniżeli inni alianci.

W Dniu Zadusznym 2 listopada b. r. o. g. 9.30 rano odbędzie się St. James's Church przy George Str., W.1. w kaplicy N. Marji Panny Msza Św. za dusze

WSZYSTKICH NARODOWCÓW KTÓRZY ZŁOŻYLI SWE ŻYCIE W WALCE O WYZWOLENIE POLSKI

O czym zawiadamia
KOMITET ZAGRANICZNY OBOZU NARODOWEGO.

Listy:

LIST OTWARTY DO KSAWEREGO PRUSZYŃSKIEGO

(Do Redakcji "Myśli Polskiej,"

Prosimy uprzejmie o zamieszczenie tych paru słów pod adresem p. Ksawerego Pruszyńskiego, autora znanego artykułu "Wobec Rosji" w *Wiadomościach Polskich*.)

Ze zrozumiałym zainteresowaniem z początku, a z wielkim zdumieniem przy końcu czytaliśmy — my przybyli niedawno z Rosji — pierwszy Pański artykuł w *Wiadomościach Polskich* z zapowiedzianej serii, zapisującej wrażenia z pobytu w Z.S.S.R.

Przede wszystkim — wręcz przeciwnie jak Pan nam — my właśnie Panu odmawiamy kompetencji w informowaniu ogółu o Z.S.S.R. Gdy rok temu przybył Pan do Rosji, miał Pan tytuł do informowania nas o tym, co w ciągu poprzednich dwu lat działo się we Francji, a potem w Anglii i w ogóle w świecie. Pomijamy przy tym sprawę, czy informacje te były w 100% zgodne z rzeczywistością i prawdą. Ale teraz jest sytuacja zupełnie inna.

Twierdzi Pan, że Polacy przybyli z Z.S.S.R. nie mogą orientować się dobrze w stosunkach w Rosji, gdyż pobyt swój tam spędzili w więzieniach. Zapomina Pan, — bo chyba zdążył Pan w ciągu rocznego pobytu o tym się dowiedzieć — a może celowo pomija Pan fakt — że większość wśród Polaków w Rosji *to przesiedleńcy, którzy ani jednego dnia nie przesiedzieli w więzieniach*, a i ci co przeszli przez więzienia i obozy pracy, po wypuszczeniu ich stamtąd więcej napewno Rosji "zwiedzili," niż Pan. Nam zatem powinna przypaść rola informowania polskiej emigracji w W. Brytanii, a nie Panu, który ze względu na zajmowane stanowisko oficjalnie otaczany był, jeśli nie specjalnie preparowaną rzeczywistością, to w każdym razie specjalnie dobranym kręgiem osób. Tymczasem rzeczywistość sowiecka jest wcale a wcale inna, niż maluje ją Pan w swoim artykule. Naszym zaś obowiązkiem jest mówienie prawdy, jest malowanie stosunków w Rosji w takich kolorach, jakie odpowiadają rzeczywistości. Jeżeli Pana nie stać na bezstronność, to lepiej w ogóle na ten temat nie pisać, niż pisać nieprawdę. Wedle oświadczeń politycznych kierowników alianckich, a już specjalnie w przekonaniu całego Narodu Polskiego, w wojnie tej walczymy o zwycięstwo cywilizacji, a więc i moralności chrześcijańskiej. Moralność ta wymaga od nas przede wszystkim prawdomówności, uczciwości i rzetelności. Myśmy trzymali się tych zasad w naszych stosunkach z Z.S.S.R. My nie mamy potrzeby przez niemądre schlebianie starać się o względy Związku Sowieckiego. Nie myśmy w stosunku do Rosji zawinili, lecz ona w stosunku do nas. Porozumienie z 30 lipca 1941 opierało się chyba na zasadzie, że Polacy zapomną doznanych krzywd pod warunkiem rzetelności i uczciwości przyszłych stosunków między nami a Rosją. Jeśli dziś nie możemy zgodnie z prawdą mówić pochlebnie o Rosji to lepiej nie mówić i nie pisać o niej całkiem, niż pisać nieprawdziwe hymny pochwalne, co tylko może przynieść, szkodę, przez zaciemnianie rzeczywistości, tak nam, jak i ogólnej sprawie sojuszniczej . . .

List ten otwarty kierujemy do Pana zbiorowo i wzywamy Pana, by lepiej zaprzestał Pan dalszych swych informacyj, niżby je Pan podawał w formie nieprawdziwej.

Urbański Wacław, Szygenda Jan, Michalski, Trzciński, Mitkiewicz, Kamiński, Posyniak, Koniuszewski, Rutkowski, Siedlecki Antoni, Szul Józef, Wiktorowicz, Urbaniak St.

Ś. † p.

BOLESŁAW CYLKOWSKI
Doktór Medycyny i Filozofii,
Kpt. Rezerwy Wojsk Polskich,

zmarł na udar serca w wieku lat 58 dnia 16 lipca 1942 r. w Warszawie, o czym zawiadamiają pogrążone w nieutulonym smutku

DZIECI

MYŚL POLSKA

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Redakcja:

92, Eamont Court, Regents Park, London, N.W.8

Telephone - - PRImrose 4350

Prenumerata kwartalnie:

(6 numerów) - - - 6/- lub $2

Prenumerata półrocznie:

(12 numerów) - - 12/- lub $4

OD WYDAWNICTWA

Wydawnictwo "Myśli Polskiej" prosi:

wszystkich stałych odbiorców o zawiadamianie na czas o zmianie adresu;

o wpłacanie zaległych prenumerat.

Wydawnictwo dziękuje wszystkim ofiarodawcom na Fundusz Prasowy i prosi o podtrzymanie tej akcji, równie ważnej dziś jak kiedykolwiek.

Printed for "Myśl Polska" by F. Mildner & Sons Herbal Hill, Clerkenwell Road, London, E.C.1, November 1, 1942